

O. JACEK SALIJ OP

SYCHAR

MAŁŻEŃSTWO
JEST ŚWIĘTE

Najlepsze wino na końcu



SYCHAR

O. JACEK SALIJ OP

SYCHAR

MAŁŻEŃSTWO
JEST ŚWIĘTE

Najlepsze wino na końcu



Redakcja i korekta: Karolina Kalinowska

Projekt okładki i łamanie: Marcin Prokop

Fotografie na okładce:

© mykolastock – Fotolia.com

Nihil obstat: Prowincjał Polskiej Prowincji Dominikanów, o. Paweł Kozacki OP.
Reg. Prow. 128/19. Warszawa, 11.03.2019.

Wydanie I, 2019

Copyright © Wydawnictwo Fides

ISBN 978-83-61860-91-4



Wydawnictwo Fides, ul. Kozińska 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

WSTĘP

Tytuł niniejszej książki – nawiązujący do cudu w Kanie Galilejskiej – każe z góry domyślać się, że jest ona poświęcona małżeństwu. Jej początkiem były rekolekcje zamknięte, które głosiłem w jednej z sal krakowskiego sanktuarium Bożego Miłosierdzia dla Wspólnoty Sychar.

Wspólnota Trudnych Małżeństw Sychar należy w polskim Kościele do tych inicjatyw, które pojawiły się i żyją wyłącznie za sprawą katolików świeckich. Tworzą ją ludzie pragnący uzdrowienia swojego sakramentalnego małżeństwa, które przeżywa kryzys albo nawet uległo rozpadowi. Starają się oni wyjść z tej bardzo trudnej dla siebie sytuacji w pełnej wierności nauce Ewangelii na temat małżeństwa. Niejako dogmatem wspólnot sycharowskich jest wiara, że choćby małżeństwo nie wiem jak głęboko się rozpadło, mocą sakramentu małżeństwa można je uratować i odbudować, a niekiedy nawet Bóg dokonuje takiego cudu, że pojednanie małżonków staje się początkiem miłości większej jeszcze i głębszej, niż ta, która ich łączyła zaraz po swoim ślubie.

Wspomniane rekolekcje pozostały mi w pamięci jako wyjątkowo udane. Niemniej kiedy ich organizatorzy prosili mnie o ich opublikowanie, wiedziałem, że to przekracza moje siły i zdecydowanie takich próśb nie chciałem nawet słuchać. Ale oto pewnego dnia p. Andrzej Szczepaniak, zaangażowany we Wspólnotę Trudnych Małżeństw Sychar od samych jej początków, poinformował mnie, że uczestnicy rekolekcji spisali wygłoszone przeze

mnie konferencje; niedługo zaś później p. Adam Sulencki przesłał mi efekt tej pracy.

W tej sytuacji sumienie nie pozwalało mi uchylać się od dokonania autoryzacji, bo do zamiany przesłanych mi notatek w tekst naprawdę własny sił mi jednak zabrakło. Tekst głoszony zawsze przecież pełen jest różnych uproszczeń i nieporadności, których w tekście pisanym zazwyczaj staramy się unikać. Ale z drugiej strony: niektóre z tych nieporadności są być może nawet zaletą tekstu spisanego z taśmy, zaletą, której na próżno szukać w tekstach nadmiernie poprawnych.

Tak czy inaczej, w sumie jednak cieszę się z tego, że zostałem poniekąd przymuszony do opublikowania niniejszych konferencji. Wprawdzie trochę dziwnie czuję się w roli autora, który ma sporo drobnych zastrzeżeń wobec własnego tekstu, ale przecież nie mogę zaprzeczyć, że to jednak jest mój tekst.

Rzecz jasna, wszystkim, którzy przyczynili się do opublikowania niniejszej książki, a zwłaszcza panom Adamowi Sulenckiemu i Andrzejowi Szczepaniakowi pragnę serdecznie podziękować.

o. Jacek Salij OP

1. DAR KOŚCIOŁA

Zacznę od przedstawienia dwóch sytuacji, w których osobiście szczególnie wyraźnie zobaczyłem, jak wielkim darem Bożym jest Kościół.

Opowiadał mi młody ksiądz, mój uczeń, który zaczął uczyć religii w takiej szkole, gdzie dyrekcja okazywała mu nieukrywaną niezyczliwość i lekceważenie, ogół zaś nauczycieli – może z jakimś tylko wyjątkiem – traktował go tak, jakby był powietrzem. Przełom nastąpił, kiedy jedna z uczennic popełniła samobójstwo. Dla wszystkich – dla dyrekcji, ale również dla nauczycieli, a także dla uczniów – ksiądz w szkole stał się kims wyjątkowo potrzebnym. Okazało się, że to nieszczęście przerastało wszystkich, a ksiądz w szkole dawał bezproblemowy dostęp do Kościoła, który w tej niespodziewanej i dramatycznej sytuacji istotnie zwiększał szansę jakiegось poradzenia sobie z tym, co przekraczało wszystkich.

Sytuacja druga, kiedy mocno uświadomiłem sobie, jak wielkim darem Bożym jest Kościół, miała miejsce w moim klasztorze. Chyba jeszcze w latach dziewięćdziesiątych zgłosiły się do naszej furty dwie Japonki i poprosiły naszego ojca przeora, czy nie mogłyby z własnych produktów przyrządzić nam kolacji. Prawdopodobnie gdyby to dwie Polki albo Francuski z taką fanaberią przyszły, no... to ja już sobie wyobrażam, jakby przeor zareagował. Ale to były Japonki. Przedstawiły się, że należą do parafii prowadzonej przez naszego współbrata. Ojciec przeor wyraził zgodę. Podczas kolacji zapanowała bardzo sympatyczna atmosfera.

Wielkie wrażenie zrobiło wtedy na mnie wyznanie jednej z nich, co ona zawdzięcza Panu Jezusowi, jak wiele jej daje przynależność do Kościoła.

„Ojcowie może tego nie zrozumiecie – mówiła – bo do tego trzeba być kobietą i w dodatku Japonką. Ja od wczesnego dzieciństwa żyłam w takim strasznym przymusie, że muszę się wszystkim podobać. Muszę się podobać rodzicom, wujkom, ciotkom, sąsiadom, nauczycielom, starszym braciom – po prostu wszystkim. Wielka to była udręka, żyć pod ciężarem takiej presji, takiego obowiązku. A odkąd zostałam chrześcijanką, rozumiem, że wystarczy, że będę się podobała Panu Jezusowi – i nie dlatego, że to mój obowiązek, tylko dlatego, że to moja radość, moje szczęście”. W ten sposób, w tych prostych słowach ta kobieta dała świadectwo, jak bardzo chrześcijaństwo ją obdarzyło, jak wiele Chrystusowi i Kościołowi zawdzięcza.

Co to znaczy, że jesteśmy Kościołem? Aby to wytłumaczyć, w pierwszej kolejności zwrócę uwagę na to, że chrześcijaństwo jest jedyną religią świata, której wyznawcy nazywają siebie świątynią. Jeżeli prześledzimy, jak inne religie widzą same siebie, nie znajdziemy drugiej takiej religii, w której wierni mówiliby sami o sobie, że są świątynią, Kościołem. Chcąc odpowiedzieć zatem na pytanie, na czym polega w istocie dar Kościoła, musimy najpierw spróbować zrozumieć, co to znaczy, że jako chrześcijanie jesteśmy świątynią. Czym jest świątynia? Otóż, świątynia – według takiej nawet czysto religioznawczej analizy – to rzeczywistość dotycząca trzech wymiarów.

W pierwszym wymiarze świątynia jest miejscem szczególnej obecności Boga. Oczywiście, Bóg jest wszechobecny – a jednak są takie miejsca, gdzie On jest obecny szczególnie. Po co? Ze względu na nas, bo to my potrzebujemy tych miejsc. Dla nas, w odpowiedzi na naszą potrzebę, powstały świątynie – takie miejsca, gdzie Bóg szczególnie chce być obecny, jako udzielający się, jako

życiodajny, jako zbawiający. I to jest pierwszy wymiar naszej świątynności. I ta świątynność, moja i twoja, zaczęła się w dniu naszego chrztu. To jest pierwszy wymiar tej prawdy, że jesteśmy Kościołem.

Wymiar drugi: świątynia jest to miejsce, które szczególnie nadaje się na składanie ofiar miłych Bogu. W Starym Testamencie widać to szczególnie wyraźnie. Zwróćmy uwagę, że jeżeli ofiary są składane Bogu prawdziwemu, ale w niewłaściwych miejscach, to Mu się bardzo nie podoba. Wystarczy wspomnieć choćby tak zwany kult na wyżynach, zwalczany przez proroków:

*«Postuchaj, na wyżynach daje się słyszeć
pełen błagania lament synów Izraela,
iż skazili przewrotnością swe postępowanie,
zapomnieli o Panu, Bogu swoim.
Powróćcie, zbuntowani synowie,
uleczę wasze odstępstwa.
„Oto jesteśmy, przychodzimy do Ciebie,
bo jesteś Panem, Bogiem naszym.
Rzeczywiście, zwodnicze są wyżyny
i tumult na górach.
Rzeczywiście, w Panu, Bogu naszym,
jest zbawienie Izraela. [...]
Leżeć musimy w hańbie
i wstyd nas okrywa,
bo zgrzeszyliśmy wobec Pana, Boga naszego,
my i przodkowie nasi,
począwszy od młodości aż do dziś;
nie słuchaliśmy głosu Pana, Boga naszego» (Jr 3,21-23.25).*

Ta ofiara dokonywana w świątyni, którą jest święty Kościół Chrystusowy, to jest, oczywiście, Ofiara Eucharystyczna, do której

my dołączamy nasze ofiary, same z siebie nic nie znaczące. Dajmy na to, wielka praca duchowa, jaką wykonują małżonkowie poprzez wierność sakramentowi małżeństwa, zwłaszcza w sytuacjach, gdy jest to szczególnie trudne, niewątpliwie jest tą częstką ofiary, jaką Kościół składa Panu Bogu dla Jego uwielbienia. Te nasze ofiary, gdziekolwiek spełnione, podobają się Panu Bogu właśnie dlatego, że nadają się do tego, aby włączyć je w jedyną świętą Ofiarę Jezusa Chrystusa, Najwyższego Kapłana i Ofiarnej Żertwy – i rzeczywiście, my je podczas każdej Eucharystii włączamy.

Przypomnijmy słowa Piotra Apostoła, podkreślające przede wszystkim, że w świątyni jest składanie ofiar miłych Bogu:

Odrzuciwszy więc wszelkie zło, wszelki podstęp i udawanie, zazdrość i jakiegokolwiek złe mowy, jak niedawno narodzone niemowlęta pragnijcie duchowego, niesfalszowanego mleka, abyście dzięki niemu wzrastali ku zbawieniu – jeżeli tylko zasmakowaliście, że słodki jest Pan. Zbliżając się do Tego, który jest żywym kamieniem, odrzuconym wprawdzie przez ludzi, ale u Boga wybranym i drogocennym, wy również, niby żywe kamienie, jesteście budowani jako duchowa świątynia, by stanowić święte kapłaństwo, dla składania duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa. To bowiem zawiera się w Piśmie: Oto kładę na Syjonie kamień węgielny, wybrany, drogocenny, a kto wierzy w niego, na pewno nie zostanie zawiedziony. Wam zatem, którzy wierzycie, cześć! Dla tych zaś, co nie wierzą, właśnie ten kamień, który odrzucili budowniczowie, stał się głowicą węgła – i kamieniem upadku, i skałą zgorzenia. Ci, nieposłuszni słowu, upadają, do czego zresztą są przeznaczeni. Wy zaś jesteście wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem [Bogu] na własność przeznaczonym, abyście ogłaszali dzieła potęgi Tego, który was wezwał z ciemności do przedziwnego swojego światła, wy, którzyście byli nie-ludem, teraz zaś jesteście ludem

Bożym, którzyście nie dostąpili miłosierdzia, teraz zaś jako ci, którzy miłosierdzia doznali (1 P 2,1-10).

Wreszcie trzecim wymiarem świątyni jest świadectwo. Świątynia to miejsce świadectwa, zarówno dla wierzących, jak i dla niewierzących. I prawdą jest, że to się odnosi także w jakimś zewnętrzny stopniu do świątyń materialnych. Ja akurat sobie przypominam taką sytuację, którą przeżyłem bardzo osobiście, gdy kościół był antyświadectwem. Pamiętam, to było w roku 1972, byłem w NRD, w pewnym niewielkim miasteczku. Miasteczko to, cacko, śliczne, wypielegnowane, takie naprawdę doglądniete, aż chciałoby się w nim mieszkać – a w samym jego centrum świątynia w stanie upadku: szyby powybijane, gruz, brud, ruina. To było antyświadectwo, które pamiętam do dziś, po kilkudziesięciu latach. A zatem prawdą jest, że ten trzeci wymiar świątynności może realizować się również w wymiarze materialnym. Jednak ja chciałbym te rozważania odnieść przede wszystkim do Kościoła w pierwszym tego słowa znaczeniu, czyli do tego Kościoła, który Bóg buduje sobie z naszych serc, do tego Kościoła, który nazywa się świętym Kościołem Chrystusowym, świętym Kościołem katolickim.

Jednak – i tego chyba nie jesteśmy dość świadomi – pierwszą, najważniejszą świątynią Boga prawdziwego, miejscem wszechży-ciodajnej obecności Boga wśród ludzi jest sam Jezus Chrystus. Warto więc zwracać uwagę na to, jak bardzo Nowy Testament podkreśla tę świątynność Pana Jezusa:

Zbliżała się pora Paschy żydowskiej i Jezus udał się do Jerozolimy. W świątyni napotkał siedzących za stołami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie. Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porozrzucił monety bankierów, a stoły powywracał. Do tych zaś, którzy sprzedawali gołębie, rzekł:

«Weźcie to stąd, a nie róbcie z domu mego Ojca targowiska!». Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: Gorliwość o dom Twój pochłonie Mnie. W odpowiedzi zaś na to Żydzi rzekli do Niego: «Jakim znakiem wykażesz się wobec nas, skoro takie rzeczy czynisz?». Jezus dał im taką odpowiedź: «Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzech dniach wzniosę ją na nowo». Powiedzieli do Niego Żydzi: «Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a Ty ją wzniesiesz w przeciągu trzech dni?». On zaś mówił o świątyni swego ciała (J 2,13-21).

Ta świątynność Syna Bożego nieustannie jest podkreślana, na przykład, w prologu Ewangelii według św. Jana, gdzie jest mowa o Słowie, które jest Bogiem, przez które wszystko się stało i które zamieszkało wśród nas:

*Na początku było Słowo,
a Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.
Ono było na początku u Boga.
Wszystko przez Nie się stało,
a bez Niego nic się nie stało,
co się stało.
W Nim było życie,
a życie było światłością ludzi,
a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła. [...]
Była światłość prawdziwa,
która oświeca każdego człowieka,
gdy na świat przychodzi.
Na świecie było [Słowo],
a świat stał się przez Nie,
lecz świat Go nie poznał.*

*Przyszło do swojej własności,
a swoi Go nie przyjęli.
Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli,
dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi,
tym, którzy wierzą w imię Jego –
którzy ani z krwi,
ani z żądzy ciała,
ani z woli męża,
ale z Boga się narodzili.
A Słowo stało się ciałem
i zamieszkało wśród nas.
I oglądaliśmy Jego chwałę,
chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca,
pełen łaski i prawdy (J 1,1-5.9-14).*

Po grecku występuje tutaj czasownik *eskēnōsen*, co znaczy dosłownie: ‘rozbił namiot’. Bóg rozbił namiot między nami. Namiot to jedno z centralnych pojęć świątynnych Starego Testamentu. Zanim wybudowano świątynię Jerozolimską, począwszy od drogi przez pustynię, szczególnym miejscem obecności Boga wśród ludzi był namiot. I, co bardzo ciekawe, łaciński wyraz *namiot* brzmi... *tabernaculum*. Skojarzenie jest oczywiste.

Następne jeszcze potwierdzenie to jest prawdy, że Jezus Chrystus jest naszą Świątynią: W Księgach Prorockich Mesjasz jest nazwany imieniem Emmanuel, co znaczy: ‘Bóg z nami’. To czysto świątynna nazwa:

*Wtedy rzekł [Izajasz]:
«Słuchajcie więc, domu Dawidowy:
Czyż mało wam
naprzykrzać się ludziom,
iż naprzykrzacie się także mojemu Bogu?»*

*Dlatego Pan sam da wam znak:
Oto Panna pocznie i porodzi Syna,
i nazwie Go imieniem Emmanuel (Iz 7,13-14).*

Również w Nowym Testamencie prawda, że Jezus Chrystus jest świątynią Boga, a Kościół święty tworzy Jego Mistyczne Ciało, pojawia się często. W Liście do Kolosan czytamy:

Jak więc przejęliście naukę o Chrystusie Jezusie jako Panu, tak w Nim postępujcie: zapuśćcie w Niego korzenie i na Nim dalej się budujcie, i umacniajcie się w wierze, jak was nauczono, pełni wdzięczności. Baczcie, aby kto was nie zagarnął w niewolę przez tę filozofię będącą czczym oszustwem, opartą na ludzkiej tylko tradycji, na żywiołach świata, a nie na Chrystusie. W Nim bowiem mieszka cała Pełnia: Bóstwo, na sposób ciała, bo zostaliście napełnieni w Nim, który jest Głową wszelkiej Zwierzchności i Władzy (Kol 2,6-10).

Tak, Pan nasz, Jezus Chrystus, jest świątynią w najwyższym tego słowa znaczeniu. Zatem czy to nie bezczelność, że my samych siebie nazywamy świątynią, kościołem? Otóż jeśli to bezczelność, to podpowiada ją nam sam Duch Święty. W Nowym Testamencie wyznawcy Chrystusa wielokrotnie są nazwani świątynią. Apostoł Narodów tak pisze do Koryntian:

Usta nasze otwały się do was, Koryntianie, rozszerzyło się nasze serce. Nie brak wam miejsca w moim sercu, lecz w waszych sercach jest ciasno. Odpłacając się nam w ten sam sposób, otwórzcie się i wy: jak do swoich dzieci mówię. Nie wprzęgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo. Cóż bowiem na wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakaż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem

lub wierzącego z niewiernym? Co wreszcie łączy świątynię Boga z bożkami? Bo my jesteśmy świątynią Boga żywego – według tego, co mówi Bóg:

*Zamieszkać z nimi będę chodził wśród nich,
i będę ich Bogiem, a oni będą moim ludem.*

*Przeto wyjdźcie spośród nich
i odłączcie się od nich, mówi Pan,*

i nie tykajcie tego, co nieczyste,

a Ja was przyjmę

i będę wam Ojcem,

a wy będziecie moimi synami i córkami –

mówi Pan wszechmogący (2 Kor 6,11-18).

W Liście do Efezjan znajdujemy taki przejmujący obraz, ukazujący, że już jesteśmy świątynią, kościołem – ale dopiero w trakcie budowy. Jeszcze ta świątynia nie jest dokończona – i tak, jak na placu budowy, różne nieporządki się jeszcze zdarzają:

Dlatego pamiętajcie, że niegdyś wy – poganie co do ciała, zwani „nieobrzezaniem” przez tych, którzy zowią się „obrzezaniem” od znaku dokonanego ręką na ciele – w owym czasie byliście poza Chrystusem, obcy względem społeczności Izraela i bez udziału w przymierzach obietnicy, nie mający nadziei ani Boga na tym świecie. Ale teraz w Chrystusie Jezusie wy, którzy niegdyś byliście daleko, staliście się bliscy przez krew Chrystusa.

On bowiem jest naszym pokojem.

On, który obie części [ludzkości] uczynił jednością,

bo zburzył rozdziałający je mur – wrogość.

W swym ciele pozbawił On mocy Prawo przykazań, wyrażone w zarządzeniach,

aby z dwóch [rodzajów ludzi] stworzyć w sobie jednego nowego człowieka,

*wprowadzając pokój,
i [w ten sposób] jednych, jak i drugich znów pojednać z Bogiem
w jednym Ciele przez krzyż,
w sobie zadawszy śmierć wrogości.
A przyszedłszy zwiastował pokój
wam, którzyście daleko, i pokój tym, którzy blisko,
bo przez Niego jedni drudzy w jednym Duchu mamy przystęp
do Ojca.
A więc nie jesteście już obcymi przychodniami, ale jesteście współ-
obywatelami świętych i domownikami Boga – zbudowani na fun-
damencie apostołów i proroków, gdzie kamieniem węgielnym jest
sam Chrystus Jezus. W Nim zespalana cała budowla rośnie na
świętą w Panu świątynię, w Nim i wy także wznosicie się we
wspólnym budowaniu, by stanowić mieszkanie Boga przez Ducha
(Ef 2,11-21).*

Jako Kościół dopiero rośniemy – owszem, już jesteśmy Ko-
ściołem, ale w fazie budowy, dojrzewamy i nie do końca wiadomo,
czy to czas przedszkolny, czy może te „cielejące lata” wieku mło-
dzieńczego... Tak czy inaczej, do tej dojrzałości wiekuiestej doj-
rzewamy nie tylko w wymiarze jednostkowym, indywidualnym
i nawet nie tylko w wymiarze jednego pokolenia wierzących –
Kościół jako świątynia zbudowana ze wszystkich ludów i naro-
dów wszystkich pokoleń i czasów dojrzewa i wzrasta do świętości.
O tej perspektywie Kościoła zbudowanego ze wszystkich pokoleń
autor natchniony pisze do Hebrajczyków:

*Nie przystąpiliście bowiem do dotykającego i płonącego ognia, do
mgły, do ciemności burzy ani też do grzmiących trąb i do takie-
go dźwięku słów, iż wszyscy, którzy go słyszeli, prosili, aby do
nich nie mówił. Nie mogli bowiem znieść tego rozkazu: Jeśliby
nawet tylko zwierzę dotknęło się góry, winno być ukamienowane.*

A tak straszne było to zjawisko, iż Mojżesz powiedział: Przerazony jestem i drżę. Wy natomiast przystąpiliście do góry Syjon, do miasta Boga żyjącego, Jeruzalem niebieskiego, do niezliczonej liczby aniołów, na uroczyste zebranie, do Kościoła pierworodnych, którzy są zapisani w niebiosach, do Boga, który sędzi wszystkich, do duchów sprawiedliwych, które już doszły do celu, do Pośrednika Nowego Testamentu – Jezusa, do pokropienia krwią, która przemawia mocniej niż [krew] Abła (Hbr 12,18-24).

I to jest Kościół, to jest dar Kościoła – rzecz niezwykła zupełnie. I teraz, kiedy już wiemy, że Kościół to, po pierwsze, Boża życiodajna obecność, po wtóre, składanie ofiar miłych Bogu, które włączamy w jedyną ofiarę Jezusa Chrystusa i, po trzecie, miejsce świadectwa – spróbuję bardziej bezpośrednio zbliżyć się do tego zagadnienia, na czym w istocie polega dar Kościoła. Zacznę od takich tajemniczych słów Pana Jezusa, które wiążą się z Uroczystością Zesłania Ducha Świętego, mianowicie:

Teraz zaś idę do Tego, który Mnie posłał, a nikt z was nie pyta Mnie: „Dokąd idziesz?“, ale ponieważ to wam powiedziałem, smutek napęłnił wam serce. Jednakże mówię wam prawdę: Pożyteczne jest dla was moje odejście. Bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was. A jeżeli odejdę, pošlę Go do was. On zaś, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości o sędzie. O grzechu – bo nie wierzą we Mnie; o sprawiedliwości zaś – bo idę do Ojca i już Mnie ujrzyicie; wreszcie o sędzie – bo władca tego świata został osądzony. Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszycie, i oznajmi wam rzeczy przyszłe. On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi. Wszystko, co

*ma Ojciec, jest moje. Dlatego powiedziałem, że z mojego węż-
mie i wam objawi. Jeszcze chwila, a nie będziecie Mnie widzieć,
i znowu chwila, a ujrzycie Mnie» (J 16,5-16).*

Słowa tajemnicze. Stosunkowo rzadko się nad nimi zastana-
wiamy, ale postawmy sobie to pytanie, dlaczego odejście Jezusa
od nas było warunkiem otrzymania daru Ducha Świętego? Dla-
czego to jest dla nas bardzo dobrze, że Jezus od nas odszedł, o co
tu chodzi? Być może niektórzy z nas w dzieciństwie, zwłaszcza
w okresie wieku pierwszokomunijnego, nosili w sobie taką tę-
sknotę, takie marzenie, jak by to było dobrze, gdyby żyło się
w czasach Pana Jezusa. Gdybyśmy mogli Go widzieć, słuchać
Jego nauczania, dotknąć, mieć Go tak namacalnie, materialnie,
na wyciągnięcie ręki... Taki dzieciak to pewnie nie miałby odwa-
gi, o coś konkretnie zapytać, ale mógłby się przysłuchiwać, jak
ludzie zadają pytania i co On im odpowiada. No i można byłoby
oglądać „na żywo” te wszystkie Jego cuda! Ojej, dlaczego ja żyję
już tyle lat po Panu Jezusie? Jaka szkoda!

Tymczasem, w świetle tych słów Pana Jezusa, że pożytecz-
ne jest dla nas Jego odejście, bo to właśnie ono było warunkiem
otrzymania daru Ducha Świętego, możemy zrozumieć, że dzięki
Duchowi Świętemu nasz dostęp do Pana Jezusa jest bez porów-
nania głębszy, bez porównania bardziej bezpośredni niż ten, któ-
ry mieli Apostołowie w czasie tych prawie trzech lat wspólnego
przebywania z Nim. Kiedy Pan Jezus historycznie był z ludźmi,
wchodząc w konkretną czasoprzestrzeń, tylko w jednym niewiel-
kim kraju, w określonym czasie, zaledwie trochę ponad trzydzie-
ści lat ludzie mogli mieć z Nim bezpośredni kontakt. I to był
kontakt mniej więcej tego rodzaju, jaki my teraz mamy ze sobą –
ja jestem tu, a ktoś tam, możemy porozmawiać, możemy się wi-
dzieć, możemy coś wspólnie zrobić i to jest tylko tyle. A dzięki
Duchowi Świętemu, który jest włany w serca nasze, mamy do-

stęp do Pana Jezusa aż tak głęboki, aż tak niesamowity, że Apostoł Paweł napisał:

Tymczasem ja dla Prawa umarłem przez Prawo, aby żyć dla Boga: razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża. Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który uniłował mnie i samego siebie wydał za mnie. Nie mogę odrzucić łaski danej przez Boga. Jeżeli zaś usprawiedliwienie dokonuje się przez Prawo, to Chrystus umarł na darmo (Ga 2,19-21).

Paweł, mówiąc o naszej więzi z Chrystusem, raz po raz używa terminu, że my jesteśmy w Nim, a On w nas – i słusznie, bo nigdy dość o tym przypominać. Duch Święty to Bóg prawdziwy, równy Ojcu i Synowi, Trzecia Osoba Boska, który jest osobową Miłością Ojca i Syna. Mało! Duch Święty jest jednocześnie tą samą miłością, którą Ojciec miłuje Syna i którą Syn miłuje Ojca. My łatwo używamy słów: „ojciec”, „syn”, a przecież tu jest mowa o Bogu, prawdziwym Bogu, nieskończonym Bogu! Ojciec, oddając całego siebie bez reszty swojemu Synowi, kocha swojego Syna równym Im obu Duchem Świętym. A Syn, przyjmując samego siebie w boskiej wieczności od Ojca, kocha Ojca tym samym Duchem Świętym, Bogiem osobowym! Rzecz, która nie ma żadnej analogii w świecie stworzonym, coś niepojętego, niezwykłego zupełnie! Już samo to, że ja mogę tak bezkarnie o tej rzeczywistości pisać i nie umieram z przerażenia albo z zachwytu – bo takie są tylko dwie możliwości, gdybym naprawdę i do końca rozumiał to, co sam piszę – już samo to świadczy o tym, że stosunkowo niewiele mogę z tego zrozumieć.

Ludzie deklarujący się jako niewierzący, ale czasem także i katolicy, z tych przestrzeni swego niedowiarstwa, że tak to ujmę,

stawiają sobie pytanie następującej treści: jeżeli Jezus chodził po ziemi 2000 lat temu, skąd w XXI wieku możemy mieć pewność, że do naszych czasów dochodzi Jego autentyczna nauka? Przecież przez te 2000 lat czasy się zmieniały, mentalność się zmieniała i nawet przy najlepszej woli ta nauka Pana Jezusa mogła ulec jakiemuś przeinaczeniu. Rozważmy tę kwestię z perspektywy osób wierzących. Jeżeli Bóg naprawdę dał nam swojego Syna dla wszystkich pokoleń, to niewątpliwie zatroszczył się również i o to, żeby dary, z jakimi Jego Syn do nas przyszedł, przychodziły autentycznie do wszystkich ludzi wszystkich pokoleń, niezależnie od czasu, jaki dzieli ich od historycznej obecności Jezusa wśród nas. Jezus wyraźnie o tym mówił, kiedy obiecywał nam Ducha Świętego. Jasno powiedział, że Duch Święty będzie nam przypominał w naszych czasach to wszystko, czego On nas uczył:

A nauka, którą słyszycie, nie jest moja, ale Tego, który Mnie posłał, Ojca. To wam powiedziałem przebywając wśród was. A Po-cieszyciel, Duch Święty, którego Ojciec pošle w moim imieniu, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem (J 14,24b-26).

Ponadto, Pan Jezus wybrał dwunastu Apostołów, którzy mieli być patriarchami nowego ludu Bożego, Kościoła. Ustanowił ich pasterzami Kościoła, a więc również strażnikami prawdy swojej Ewangelii. Istotną częścią ich misji apostołskiej była władza przekazywania władzy pasterskiej swoim następcom.

Potem wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszedli do Niego. I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysłać ich na głoszenie nauki, i by mieli władzę wypędzać złe duchy. Ustanowił więc Dwunastu: Szymona, któremu nadał imię Piotr; dalej Jakuba, syna Zebedeusza, i Jana,

brata Jakuba, którym nadał przydomek Boanerges, to znaczy synowie gromu; dalej Andrzeja, Filipa, Bartłomieja, Mateusza, Tomasza, Jakuba, syna Alfeusza, Tadeusza, Szymona Gorliwego i Judasza Iskariotę, który właśnie Go wydał (Mk 3,13-19).

I do tych właśnie dwunastu swoich Apostołów Pan Jezus powiedział:

Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który Mnie posłał. Kto przyjmuje proroka, jako proroka, nagrodę proroka otrzyma. Kto przyjmuje sprawiedliwego, jako sprawiedliwego, nagrodę sprawiedliwego otrzyma. Kto poda kubek świeżej wody do picia jednemu z tych najmniejszych, dlatego, że jest uczniem, zaprawdę powiadam wam, nie utraci swojej nagrody (Mt 10,40-42).

Jezus powiedział to do Apostołów, a zatem także do ich następców. Wobec tego właśnie do nich odnosi się Jego obietnica Ducha Świętego, który czuwa nad tym, żebyśmy, jako Kościół, Jego nauki nie przekręcili, nie przeinaczyli, nie zapomnieli – no, krótko mówiąc, żeby nie uległa takim stosunkowo normalnym procesom, jakim podlega każdy przekaz zwyczajnej ludzkiej mądrości poddanej działaniu czasu. Właśnie dlatego, że to nie jest zwyczajna ludzka mądrość. Apostoł Paweł napisał, że Kościół jest filarem i podporą prawdy:

Gdybym zaś się opóźniał, [piszę], byś wiedział, jak należy postępować w domu Bożym, który jest Kościołem Boga żywego, filarem i podporą prawdy. A bez wątpienia wielka jest tajemnica pobożności.

*Ten, który objawił się w ciele,
usprawiedliwiony został w Duchu,*

*ukazał się aniołom,
ogłoszony został poganom,
znalazł wiarę w świecie,
wzięty został w chwale (1 Tm 3,15-16).*

To dzięki darowi Kościoła mamy wewnętrzną pewność, że dochodzi do nas autentyczna nauka Pana Jezusa. Kiedyś bardzo poruszyła mnie taka zwyczajna myśl, doprawdy, nic odkrywczego. Mianowicie, pewna kobieta przyznała mi się, że tak naprawdę to ona rozumiała, że aborcja jest strasznym grzechem, dzięki Kościołowi. Powiedziała do mnie: „Żyję w takich czasach, w takim środowisku, że dla takich zwyczajnych ludzi aborcja wydaje się... No, owszem, czymś chyba niedobrym, ale... No, nie ma co się przejmować, bo i tak tego nie unikniemy. Dopiero dzięki Kościołowi zrozumiałam, że tu chodzi o coś zupełnie innego, o coś nieporównanie głębszego, że to jest po prostu morderstwo!”. Tak działa nauka Kościoła, przekazywana z pokolenia na pokolenie mocą Ducha Świętego.

Ale ten dar bezpośredniego dostępu do Pana Jezusa, możliwy dzięki działaniu Ducha Świętego w Kościele, realizuje się w jeszcze dalszych wymiarach. Sam Jezus, tuż przed odejściem na mękę, mówi:

Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem. Znaście drogę, dokąd Ja idę». Odezwał się do Niego Tomasz: «Panie, nie wiemy, dokąd idziesz. Jak więc możemy znać drogę?». Odpowiedział mu Jezus: «Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze

Mnie. Gdybyście Mnie poznali, znalibyście i mojego Ojca., ale teraz już Go znacie i zobaczyliście». Rzekł do Niego Filip: «Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy». Odpowiedział mu Jezus: «Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca. Dlaczego więc mówisz: „Pokaż nam Ojca?”. Czy nie wierzysz, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie? Słów tych, które wam mówię, nie wypowiadam od siebie. Ojciec, który trwa we Mnie, On sam dokonuje tych dzieł. Wiercie Mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie. Jeżeli zaś nie – wiercie przynajmniej ze względu na same dzieła! (J 14,1-11).

Zobaczmy, jak żałośnie na tym tle wyglądają różne popisy nas, niedowiarków, kiedy sobie mówimy: „Ja sobie znajdę moją własną drogę do Pana Boga, pójdę sobie do lasu, albo na łąkę, pomodłę się w domu – ja żadnych pośredników nie potrzebuję, nie potrzebuję księży i ich sakramentów!”. O, Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami grzesznymi! Toż to przecież nie jest tak, że ksiądz ciebie prowadzi do Pana Jezusa! Ksiądz jest sługą, który umożliwia ci dostęp do tego daru, wyrażającego się możliwością twojego bezpośredniego przyjścia do Pana Jezusa! Kto tak się wy-mądrza, niechby sobie uprzytomnił, że poza Kościołem nie da się Komunii Świętej przyjąć – a nie ma bardziej bezpośredniego dostępu do Chrystusa, niż spotkać się z Nim aż tak bardzo! To jest o wiele bardziej bezpośrednio niż kiedy my, ludzie, spotykamy się między sobą. W Komunii Świętej spotykamy się niewyobrażalnie bardziej, bezpośrednio właśnie – to jest rzeczywistość taka, że słów ludzkich brakuje.

Chociaż Kościół jest dopiero w trakcie budowy, to dzięki Kościołowi mamy bezpośredni dostęp do łaski Chrystusowej. Bo przecież to nie jest tak, że jeśli ja będę strasznie pobożny i bardzo się skupię, i tak dalej, to natychmiast Pan Bóg będzie mi łaski

udzielał. Natomiast, jeżeli ja przystępuję do sakramentu pokuty i oddaję moje grzechy Panu Jezusowi – bo przecież nie księdzu je wyznaję – to choćby ten ksiądz, co siedzi w konfesjonale, był takim gruboskórnym gburem i nie wiem, co by jeszcze przeciwko niemu wygadywać, to przecież sam Pan Jezus odpuszcza mi moje grzechy. Oznacza to, że sakrament pokuty jest darem bezpośredniego dostępu do przebaczonego Jezusa. Mamy to dzięki Kościołowi, tak samo, jak dzięki Kościołowi mamy możliwość uczestniczenia w Eucharystii, cudzie tej niepojętej miłości, z jaką Jezus oddał za nas swoje życie. Wówczas, w Wielki Piątek, spadła na Niego cała potęga zła, siły piekielne zorganizowały przeciwko Niemu cyklon zła tak ogromny, że już większego się nie dało wyobrazić – a Pan Jezus nawet wtedy był po prostu sobą i szatan nawet odrobiny na Nim nie zyskał:

Ci zaś, którzy przechodzili obok, przeklinali Go i potrząsali głowami, mówiąc: «Ty, który burzysz przybytek i w trzech dniach odbudowujesz, wybaw sam siebie; jeśli jesteś Synem Bożym, zejdziesz z krzyża!». Podobnie arcykapłani z uczonymi w Piśmie i starszymi, szydząc, powtarzali: «Innych wybawiał, siebie nie może wybawić. Jest królem Izraela: niechże teraz zejdzie z krzyża, a uwierzymy w Niego. Zaufał Bogu: niechże Go teraz wybawi, jeśli Go miłuje. Przecież powiedział: „Jestem Synem Bożym”». Tak samo lżyli Go i złoczyńcy, którzy byli z Nim ukrzyżowani (Mt 27,39-44).

Jezus milczał, nie uczestniczył w żadnych słownych przepychankach, po prostu był sobą – nawet w tych potwornych okolicznościach, w tej potwornej krzywdzie, jaką Mu zadano, Pan Jezus był przepełniony miłością do swojego Ojca i do nas, którzyśmy Go wtedy zabijali. Nawet wtedy, kiedy przeżywał straszliwe ciemności ducha, z wnętrza których wołał do Ojca, że Go

opuścił – nawet wtedy był jednocześnie cały rozkochany w Ojcu i cały oddany nam:

Od godziny szóstej mrok ogarnął całą ziemię, aż do godziny dziewiątej. Około godziny dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: «Eli, Eli, lema sabachthani?», to znaczy Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił? Słyszac to, niektórzy ze stojących tam mówili: «On Eliasza woła». Zaraz też jeden z nich pobiegł i wziąwszy gąbkę, napełnił ją octem, włożył na trzcinę i dawał Mu pić. Lecz inni mówili: «Poczekaj! Zobaczymy, czy przyjdzie Eliasza, aby Go wybawić» (Mt 27,45-49).

Umarł przecież z najpiękniejszą z możliwych modlitwą na ustach:

Słońce się zaćmiło i zasłona przybytku rozdarła się przez środek. Wtedy Jezus zawołał donośnym głosem: Ojczy, w Twoje ręce powierzam ducha mego. Po tych słowach wyzionął ducha (Łk 23,45-46).

I my, właśnie dzięki Kościołowi, mamy możliwość rzeczywistego uczestnictwa w tym misterium miłości. Co więcej, jesteśmy zaproszeni, żeby swoją miłość podnosić do rangi ofiary. Przypomnę tutaj taką najbardziej elementarną definicję ofiary: ofiara jest to miłość realizowana również wtedy, kiedy jest trudno, a nawet wtedy, kiedy to bardzo trudne.

Żyjemy w czasach olbrzymiego ataku na Kościół, wielokrotnie, kiedy natrafiamy na różne ataki przeciwko Kościołowi, możemy odnieść wrażenie, że jest to najbardziej przestępcza instytucja, jaka na świecie w ogóle zaistniała. Dowiadujemy się, że Kościół jest winien milionów a może nawet miliardów zabitych, że w ogóle jest sprawcą wszystkich możliwych wojen nienawiści –

i właściwie w historii świata niczym innym się nie zajmował, jak tylko pozbawianiem ludzi wolności i życia. I tak dalej, i tak dalej. Tutaj trzeba nam spokoju w wierze, bo kiedy nie tylko wiemy, ale też tego doświadczamy, jak wielkim darem jest Kościół, nie dziwimy, że szatana to straszliwie złości – i dlatego próbuje ten dar, na ile tylko potrafi, unieważnić, zozydzić i tak dalej. A z drugiej strony warto czasem przypomnieć, że Pan Jezus też spotykał się z oskarżeniami. I On sam zapowiedział, że także Jego Mistyczne Ciało będzie cierpieć wszystko to samo:

Jeżeli was świat nienawidzi, wiedźcie, że Mnie pierwszej znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi. Pamiętajcie na słowo, które do was powiedziałem: „Sługa nie jest większy od swego pana”. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować. Jeżeli moje słowo zachowali, to i wasze będą zachowywać. Ale to wszystko wam będą czynić z powodu mego imienia, bo nie znają Tego, który Mnie posłał. Gdybym nie przyszedł i nie mówił do nich, nie mieliby grzechu. Teraz jednak nie mają usprawiedliwienia dla swego grzechu. Kto Mnie nienawidzi, ten i Ojca mego nienawidzi. Gdybym nie dokonał wśród nich dzieł, których nikt inny nie dokonał, nie mieliby grzechu. Teraz jednak widzieli je, a jednak znienawidzili i Mnie, i Ojca mego. Ale to się stało, aby się wypełniło słowo napisane w ich Prawie: Nienawidzili Mnie bez powodu. Gdy jednak przyjdzie Poczieszyciel, którego Ja wam posłem od Ojca, Duch Prawdy, który od Ojca pochodzi, On będzie świadczył o Mnie. Ale wy też świadczyście, bo jesteście ze Mną od początku (J 15,18-27).

Lecz o ile w wypadku Kościoła, czyli nas, oskarżenia w jakiejś mierze bywają prawdziwe, o tyle w odniesieniu do Pana Jezusa

były absolutnie nieprawdziwe. Jezusa też oskarżono o różne rzeczy – że zwodziciel, że żarłok, że pijak i nie wiadomo, kto jeszcze:

«Z kim więc mam porównać ludzi tego pokolenia? Do kogo są podobni? Podobni są do dzieci, które przebywają na rynku i głośno przymawiają jedne drugim: „Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście; biadaliśmy, a wyście nie płakali”. Przyszedł bowiem Jan Chrzciciel: nie jadł chleba i nie pił wina; a wy mówicie: „Zły duch opętał”. Przyszedł Syn Człowieczy: je i pije; a wy mówicie: „Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników”. A jednak wszystkie dzieci mądrości przyznały jej słusność» (Łk 7,31-35).

Jego własna rodzina mówiła, że oszalał, a przywódcy religijni, że jest opętany:

Gdy to posłyszeli Jego bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: «Odszedł od zmysłów». Natomiast uczeni w Piśmieniu, którzy przyszli z Jerozolimy, mówili: «Ma Belzebuba i przez władcę złych duchów wyrzuca złe duchy» (Mk 3,21-22).

Ponieważ jednak ostatnio ataki na Kościół są coraz silniejsze, chciałbym w tym miejscu podpowiedzieć, pokazać parę wytrychów, którymi ja osobiście się posługuję, kiedy ludzie pytają mnie o zło w Kościele – a często są to ludzie, którzy nie mają osobistego doświadczenia w tej kwestii, tylko jakoś tam ulegli już tej propagandzie, że historia Kościoła jest jakoby obciążona tyłu zbrodniami i niesprawiedliwościami. Zresztą, wszyscy wiemy, na czym polegają te zarzuty. Spróbuję pokazać parę wytrychów, którymi, w zależności od sytuacji, lubię się niekiedy posłużyć w trakcie rozmowy na temat Kościoła i tego, co można by nazwać złem w Kościele. Po pierwsze, jest takie stare chińskie przysłowie, które bardzo mi się podoba i nieraz je w takich okolicznościach

przywołuje: „Jedno upadające drzewo robi więcej huk w lesie, niż to, że cały las rośnie”. To jest święta prawda. Tego, że w Kościele dzieje się naprawdę bardzo wiele dobra, jakby nie zauważamy, również i dlatego, że taka jest natura Kościoła, tak ma być, dobro ma się dziać zwłaszcza w Kościele. Ale wystarczy jakiś poszczególny, jednostkowy wypadek, żeby media trąbiły o tym bez końca, i to nieraz nawet z przeinaczeniami.

Drugi wytrych, którym czasem się w obronie atakowanego Kościoła posługuję, to proste zwrócenie uwagi na to, że atak jest nieraz, po prostu, formą obrony. Pamiętam, że rozmawialiśmy kiedyś o Kościele na spotkaniu w duszpasterstwie nauczycieli. Jedna z pań powiedziała wtedy tak: „W moim środowisku to państwo sobie nawet nie wyobrażacie, ile się wygaduje przeciwko Kościołowi, no nie da się wytrzymać! A prowokują to wszystko dwie osoby, kolega i koleżanka. Ja bardzo się tym przejmowałam, próbowałam jakoś tam polemizować, ale to jeszcze większe ataki powodowało. Aż w pewnym momencie uświadomiłam sobie, kim są te osoby, które przewodzą tym atakom. Kolega ma już czwartą żonę, a koleżanka ma za sobą co najmniej dwie aborcje”. Rzeczywiście, jest w nas taka tendencja do szukania samousprawiedliwienia za pomocą oskarżania innych – a już jak mogą oskarżać Kościół, o wiele bardziej mnie to usprawiedliwia, niż gdybym tylko jakąś tam szacowną sąsiadkę atakował. Oczywiście ja nikogo nie zapraszam do formułowania takich uwag w trakcie rozmów, ale warto sobie uświadomić, że bardzo często źródłem tego rodzaju negatywnego nastawienia do Kościoła jest właśnie taka nieszczęсна, niekoniecznie sprawiedliwa potrzeba samousprawiedliwienia się. Rzecz jasna, bywa również i tak, że źródłem takich antykościelnych agresji są autentyczne rany, które człowiekowi zadał jakiś ksiądz czy inna osoba związana z Kościołem – dlatego konieczna jest tu delikatność.

Jednak przyznam szczerze, że do obrony Kościoła szczególnie często sięgam po argument pewnego rabina. Mówił on tak: „Grzechy naszego żydowskiego narodu są niezliczone, liczniejsze niż piasek morski, ale nie z ich powodu nasz naród jest tak nienawidzony. Nasz naród jest nienawidzony z powodu swoich zalet”. Ja nie jestem Żydem, więc nie będę oceniał tej wypowiedzi, ale sądzę, że ona się genialnie nadaje do obrony Kościoła katolickiego przed różnymi, niekoniecznie sprawiedliwymi zarzutami. Powiedziałbym tak: „Grzechy nasze – biskupów, księży i zakonników, katolików świeckich – są, niestety, liczniejsze niż piasek morski, ale to nie z ich powodu Kościół jest nieustannie tak piętnowany, nielubiany, a nieraz nawet nienawidzony. Wielu ludzi nienawidzi Kościoła za jego wierność Ewangelii, za to, że wyraźnie naucza, iż „Nie zabijaj” to znaczy: nie zabijaj, a „Nie cudzołóż” to znaczy: nie cudzołóż, za to, że przypomina ludziom, iż zasada „co Bóg złączył, tego niech człowiek nie rozdziela” obowiązuje dzisiaj tak samo jak zawsze.

Wobec różnych ataków na Kościół należy zachować wiele spokoju. Pamiętajmy, że również w Wielki Piątek Pan Jezus naprawdę był Synem Bożym i Bogiem wszechmocnym – i że zwyciężył właśnie wtedy, kiedy był wyszydzany, bity i ukrzyżowany. Jak to napisał skazany właśnie na śmierć męczeńską biskup Antiochii, święty Ignacy: „Wielki to zawodnik, który jest bity, a zwycięża”.

Na koniec przywołam przekonującą metaforę, jaką zaproponował beatyfikowany przez Benedykta XVI wielki angielski konwertyta, kardynał John Henry Newman. Newman przyszedł do Kościoła katolickiego dopiero w 47. roku życia. Przedtem sam nieraz ulegał bardzo antykatolickim stereotypom w patrzeniu na Kościół. Toteż miał sporo zrozumienia dla różnych niesprawiedliwych uprzedzeń do Kościoła, bo kiedyś sam im ulegał. Kiedy został katolikiem, lubił powtarzać, że z Kościołem jest podobnie

jak z pięknym witrażem Z zewnątrz witraż – choćby nie wiem jak był piękny – wydaje się bezsensowną płataniną szkła, ołowiu i kurzu. Żeby zachwycić się jego pięknem, trzeba wejść do środka. Podobnie żeby zobaczyć i docenić wspaniałość tego wielkiego daru Bożego, jakim dla nas jest Kościół, trzeba po prostu wejść do środka.

Na koniec krótka refleksja na temat tej prawdy, że Kościół jest jeden. Pod koniec lat sześćdziesiątych krążył taki dowcip, który zaczynał się od pytania, jak odróżnić łabędzia od łabędzicy? Otóż okazuje się, że to bardzo proste. Trzeba mieć bułkę, rzucić ją i uważnie obserwować – jak będzie jadł, znaczy łabędź, jak będzie jadła, to łabędzica.

Przytaczam ten dowcip nie po to, żeby być dowcipnym, ale chcę z jego pomocą powiedzieć coś bardzo ważnego na temat Kościoła. Biologowie nam mówią, że każda komórka naszych ciał zawiera informację, czy jestem mężczyzną czy kobietą. Nasz język polski – i chyba w ogóle języki słowiańskie – nawet za pomocą czasowników podkreślają, że bycie mężczyzną albo kobietą to jest coś, co ogarnia całe nasze życie. Otóż bardzo podobnie jest z Kościołem. Każda komórka Kościoła, to znaczy każdy poszczególne ochrzczony, jest świątynią. Zarazem to nie jest tak, że Pan Bóg ma tych świątyń miliardy, Pan Bóg ma jedną jedyną świątynię złożoną ze wszystkich ochrzczonych. Zarazem ja jeden – ponieważ jestem ochrzczony i staram się żyć w łasce uświęcającej – jestem jedyną, неповtarzalną świątynią, miejscem szczególnej Bożej obecności. I to jest to, co Apostoł Paweł napisał:

My bowiem jesteśmy pomocnikami Boga, wy zaś jesteście uprawną rolą Bożą i Bożą budowlą. Według danej mi łaski Bożej, jako roztropny budowniczy, położyłem fundament, ktoś inny zaś wznosi budynek. Niech każdy jednak baczy na to, jak buduje. Fundamentu bowiem nikt nie może położyć innego, jak ten, który jest

położony, a którym jest Jezus Chrystus. I tak jak ktoś na tym fundamencie buduje: ze złota, ze srebra, z drogich kamieni, z drzewa, z trawy lub ze słomy, tak też jawne się stanie dzieło każdego: odłoni je dzień [Pański]; okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje, jakie jest. Ten, którego dzieło wzniesione na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę; ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprowadzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień. Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest świętą, a wy nią jesteście (1 Kor 3,9-17).

Krótko mówiąc, ta świątynność dotyczy nas wszystkich – a zarazem każdego z nas; każdej parafii – a zarazem każdej rodziny, które się na nią składają; każdej rodziny zbudowanej na sakramencie małżeństwa – a zarazem każdego z jej ochrzczonych członków.

2. DUCH ŚWIĘTY SPRAWCĄ SAKRAMENTÓW I DAWCĄ ŁASKI

W ciągu wieków chrześcijanie stawiali sobie pytanie, dlaczego w Starym Testamencie Bóg jeszcze nie objawił, że jest Trójcą Osób, Ojcem, Synem i Duchem Świętym. Bodaj czy nie najgłębszą odpowiedź na to pytanie podał już w IV wieku św. Grzegorz z Nazjanzu, który powiedział: „Takie są Boże obyczaje, że najpierw obdarza, i dopiero potem pozwala nam zrozumieć to, czym obdarzył”. Rzeczywiście, w Starym Testamencie Syn Boży jeszcze do nas nie przyszedł i jakkolwiek mamy tam wiele prześwitów prawdy trynitarnej. Potrafimy je dostrzec, kiedy już mocni wiarą chrześcijańską czytamy Stary Testament i raz po raz natrafiamy na teksty, ewidentnie prześwitujące prawdą o Synu Bożym i o Duchu Świętym. Jednak Syn Boży nie był wtedy jeszcze objawiony, również Duch Święty nie był jeszcze wtedy dany, dlatego w Starym Testamencie o Trójcy Świętej jeszcze nie wiedzano. Natomiast kiedy przyszedł Syn Boży – obdarzył nas Ewangelią, umarł za nas na krzyżu i zmartwychwstał – Jego uczniowie uwierzyli Mu, że jest On zapowiadany przez proroków Mesjaszem. Uwierzyli Mu, że jest On kimś innym od Ojca, a jednocześnie że jest On jedno z Ojcem.

Uwierzyli Mu, że jest On Mesjaszem, czyli Pomazańcem. A przecież nikt Go nie namaszczał żadnymi świętymi olejami. Sam Bóg namaścił Go Duchem Świętym i mocą (Dz 10,38). Całe

swoje dzieło zbawcze wypełnił On w Duchu Świętym – poczynawszy od tego, że mocą Ducha Świętego stał się On człowiekiem.

W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: «Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą». Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co miałoby znaczyć to pozdrowienie. Lecz anioł rzekł do Niej: «Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca». Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?». Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego ośłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym» (Łk 1,26-35).

Duch Święty, równy Ojcu i Synowi, jest nieskończoną, boską, osobową Miłością, którą w wieczności miłują się przedwieczny Ojciec i Syn Boży. Wszystko, kim był i czego dokonał Syn Boży jako prawdziwy człowiek, było i stało się w Duchu Świętym, czyli w tej niepojętej Miłości, którą złączyli się w wieczności Ojciec i Syn. Objawiło się to już podczas chrztu w Jordanie:

Wtedy przyszedł Jezus z Galilei nad Jordan do Jana, żeby przyjąć chrzest od niego. Lecz Jan powstrzymywał Go, mówiąc: «To ja potrzebuję chrztu od Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie?». Jezus mu odpowiedział: «Pozwól teraz, bo tak godzi się nam wypełnić wszystko, co sprawiedliwe». Wtedy Mu ustąpił. A gdy Jezus został ochrzczony, natychmiast wyszedł z wody. A oto otworzyły Mu się

niebiosa i ujrzał Ducha Bożego zstępującego jak gołębicę i przychodzącego na Niego. A głos z nieba mówił: «Ten jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie» (Mt 3,13-17).

Jan dał takie świadectwo: «Ujrzałem Ducha, który jak gołębicą zstępował z nieba i spoczął na Nim. Ja Go przedtem nie znałem, ale Ten, który mnie posłał, abym chrzczył wodą, powiedział do mnie: „Ten, nad którym ujrzysz Ducha zstępującego i spoczywającego nad Nim, jest Tym, który chrzci Duchem Świętym”. Ja to ujrzałem i daję świadectwo, że On jest Synem Bożym» (J 1,32-34).

To właśnie w Duchu Świętym Jezus przeszedł przez krzyż i mękę, i dokonał naszego odkupienia: Chrystus “przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę i oczyszcza wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu” (Hbr 9,14). Warto sobie uprzytomnić, z jaką starannością Bóg wybrał moment zesłania Ducha Świętego. Został On dany Apostołom pięćdziesiątego dnia po zmartwychwstaniu Pana Jezusa. To wtedy został ustanowiony Kościół. To w tamtym momencie zaczęło się jakby rozszerzanie Chrystusa Pana o nas, którzy w Niego uwierzyliśmy:

Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić (Dz 2,1-4).

Opis Zesłania Ducha Świętego zaczyna się od informacji, że nagle spadł szum z nieba, jakby uderzenie gwałtownego wiatru.

To jest ewidentne nawiązanie do wydarzeń, które miały miejsce na górze Synaj pięćdziesiąt dni po przejściu przez Morze Czerwone:

Pan rzekł do Mojżesza: «Oto Ja przyjdę do ciebie w gęstym obłoku, aby lud słyszał, gdy będę rozmawiał z tobą, i uwierzył tobie na zawsze». A Mojżesz oznajmił Panu słowa ludu.

Pan powiedział do Mojżesza: «Idź do ludu i każ im się przygotować na święto dziś i jutro. Niechaj wypiorą swoje szaty i niech będą gotowi na trzeci dzień, bo dnia trzeciego zstąpi Pan na oczach całego ludu na górę Synaj. Oznacz ludowi granice dokoła góry i powiedz mu: Strzeżcie się wstępować na górę i dotykać jej podnóża, gdyż kto by się dotknął góry, będzie ukarany śmiercią. Nie dotknie go ręka, lecz winien być ukamienowany lub przebity strzałą. Człowiek ani bydło nie może być zachowane przy życiu. Gdy zaś zagrzmie trąba, wtedy niech podejdą pod górę».

Wtedy Mojżesz zstąpił z góry i nakazał przygotować się ludowi. I wyprali swoje szaty. Później powiedział ludowi: «Bądźcie gotowi za trzy dni i nie zbliżajcie się do kobiet».

Trzeciego dnia rano rozległy się grzmoty z błyskawicami, a gęsty obłok rozpostarł się nad górą i rozległ się głos potężnej trąby, tak że cały lud przebywający w obozie drżał ze strachu. Mojżesz wyprowadził lud z obozu naprzeciw Boga i ustawił u stóp góry. Góra zaś Synaj była cała spowita dymem, gdyż Pan zstąpił na nią w ogniu i unióśł się dym z niej jakby z pieca, i cała góra bardzo się trzęsła. Głos trąby się przeciągał i stawał się coraz donośniejszy. Mojżesz mówił, a Bóg odpowiadał mu wśród grzmotów. Pan zstąpił na górę Synaj, na jej szczyt. I wezwał Mojżesza na szczyt góry, a Mojżesz wstąpił (Wj 19,9-20).

Jak pięćdziesiąt dni po uratowaniu ludu Bożego z niewoli Egipcjan Bóg objawia się swojemu ludowi wśród szumu, trzęsienia ziemi i grzmotów, aby zawrzeć Przymierze, tak punktualnie

pięćdziesiąt dni po zmartwychwstaniu Pana Jezusa zstępuje Duch Święty na Apostołów. Było ich dwunastu i, po uzupełnieniu grona o św. Macieja, pozostało dwunastu – ale teraz są już jednym Kościołem, teraz już stanowią Mistyczne Ciało Chrystusowe, które będzie rosło i rozszerzało się, teraz już są napełnieni Duchem Świętym, który ich uzdalnia do skutecznego głoszenia Ewangelii, do znoszenia wszystkich tych przeciwności, które na naszym świecie wciąż są obecne. Duch Święty nas chroni, w różnorodny sposób nas obdarza łaskami, uzdalnia do pełnienia woli Bożej. To widać już w tej zapowiedzi, tajemnicy porywającej, gdy w samą Niedzielę Zmartwychwstania Pan Jezus przychodzi do uczniów. Oni są zastraszeni, zamknęli się w obawie przed tym, żeby coś złego ich nie spotkało:

Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, gdy drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: «Pokój wam!». A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie ujrawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: «Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam». Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: «Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane» (J 20,19-23).

Pan Jezus Pan Jezus pozdrowił ich, a potem, czytamy, że tchnął na nich. Przecież przypominamy sobie opis stworzenia pierwszego człowieka, gdy Bóg kiedy ukształtował ciało ludzkie, a potem tchnął, żeby udzielić tchu życia – i człowiek odtąd żył i mógł wysławiać Pana Boga, czynić dobro i Boga kochać i kochać tych wszystkich, którymi Bóg go obdarzył. A teraz, tutaj, w przytoczonym opisie wydarzenia z wieczernika, dokonuje się coś gruntownie nowego: Jezus Zmartwychwstały powtarza gest

Stwórcy, ale jest to gest już nie starego stworzenia, już nie pierwszego stworzenia, ale gest twórczy stworzenia człowieka nowego:

Gdy Pan Bóg uczynił ziemię i niebo, nie było jeszcze żadnego krzewu polnego na ziemi, ani żadna trawa polna jeszcze nie weszła – bo Pan Bóg nie zsyłał deszczu na ziemię i nie było człowieka, który by uprawiał ziemię i rów kopał w ziemi, aby w ten sposób nawadniać całą powierzchnię gleby – wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą (Rdz 2,4b-7).

Jak Stwórca w dniu stworzenia człowieka tchnął w ciało Adama, żeby żył, tak Syn Boży, który dla nas przeszedł przez krzyż i zmartwychwstał, tchnął na swoich uczniów, a przez nich poniekąd na nas wszystkich, już nie tylko to przyrodzone życie, ale samego Ducha Świętego. Abyśmy wszyscy byli uczestnikami tej osobowej Miłości, którą On kocha swojego Ojca i którą przez Ojca jest kochany.

To jest coś niepojętego, że kiedy kochamy Pana Boga, to nie jest tylko tak, że staramy się, jak umiemy, modlitwą, dobrym postępowaniem, czynami wyrażać tę miłość. Bo jeżeli w serca nasze zstępuje Duch Święty, jeżeli jesteśmy ogarnięci Duchem Świętym, to stajemy się uczestnikami tej Boskiej Miłości. Krótko mówiąc, razem z Chrystusem Panem kochamy Jego przedwiecznego Ojca, a Ojciec przedwieczny miłuje nas tym samym Duchem Świętym, którym miłuje swojego Syna. Nie dziwny się zatem, dlaczego w Starym Testamencie jeszcze te prawdy nie były objawione.

Na jedno jeszcze warto zwrócić uwagę – choć, oczywiście, tych nawiązań do różnych wydarzeń biblijnych jest mnóstwo – ale trzeba sobie uprzytomnić, że zesłanie Ducha Świętego było przeciwieństwem tych wydarzeń, jakie miały miejsce podczas budowy wieży Babel, kiedy ludzie ogarnięci pychą sądzili, że potrafią wła-

snymi siłami zorganizować się w taką jedność, żeby mieć pełne porozumienie między sobą. Wtedy pomieszały się im języki:

Mieszkańcy całej ziemi mieli jedną mowę, czyli jednakowe słowa. A gdy wędrowali ze wschodu, napotkali równinę w kraju Szinear i tam zamieszkali. I mówili jeden do drugiego: «Chodźcie, wyrobimy cegłę i wypalmy ją w ogniu». A gdy już mieli cegłę zamiast kamieni i smołę zamiast zaprawy murarskiej, rzekli: «Chodźcie, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której wierzchołek będzie sięgał nieba, i w ten sposób uczynimy sobie znak, abyśmy się nie rozproszyli po całej ziemi». A Pan zstąpił z nieba, by zobaczyć to miasto i wieżę, które budowali ludzie, i rzekł: «Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i to jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić. Zejdźmy więc i pomieszajmy tam ich język, aby jeden nie rozumiał drugiego!». W ten sposób Pan rozproszył ich stamtąd po całej powierzchni ziemi, i tak nie dokończyli budowy tego miasta. Dlatego to nazwano je Babel, tam bowiem Pan pomieszał mowę mieszkańców całej ziemi. Stamtąd też Pan rozproszył ich po całej powierzchni ziemi (Rdz 11,1-9).

To właśnie wtedy zaczęły się różne kłótnie, różne wojny – bo brakło wspólnego języka, porozumienia, jedności. Ale ja chcę na co innego zwrócić uwagę w tym momencie. To niezwykle mocno i niezwykle pięknie wydobył św. Augustyn, który, komentując fakt, że Apostołowie napelnieni Duchem Świętym zaczęli mówić różnymi językami, mówi: „Już w pierwszym dniu swojego zaistnienia Kościół Chrystusowy był Kościołem katolickim, Kościołem powszechnym, Kościołem mówiącym różnymi językami różnych narodów. Duch Święty zstąpił na ludzi należących do jednego narodu, ale ukształtował już w pierwszym dniu Kościół katolicki, mówiący różnymi językami – stąd też wynika nasze

powinność głoszenia Ewangelii wszędzie, gdzie jesteśmy posłani”. Żaden człowiek, nawet jeżeli wspomnimy te niezwykle sukcesy duszpasterskie św. Jana Pawła II, nie jest w stanie dotrzeć do wszystkich ludzi – to może tylko sam Bóg. Dlatego, oby nam Duch Święty w tym dopomagał, oby nas Duch Święty do tego uzdolnił, żeby Ewangelia Jezusa Chrystusa rozszerzała się, żeby miłość Boża ogarniała coraz więcej ludzi.

Duch Święty jest obecną w Trójcy Przenajświętszej pełnią życia. Po raz pierwszy Pan Jezus w rozmowie z Samarytanką obiecywał nam tę wodę, której jeżeli ktoś się napije nigdy pragnąć nie będzie:

Przybył więc do miasteczka samarytańskiego, zwanego Sychar, w pobliżu pola, które [niegdys] dał Jakub synowi swemu, Józefowi. Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny. Nadeszła [tam] kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody. Jezus rzekł do niej: «Daj Mi pić!». Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupienia żywności. Na to rzekła do Niego Samarytanką: «Jakżeż Ty będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, bym Ci dała się napić?». Żydzi bowiem z Samarytanami unikają się nawzajem. Jezus odpowiedział jej na to: «O, gdybyś znała dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: „Daj Mi się napić” – prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej». Powiedziała do Niego kobieta: «Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy Ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie i jego bydło?». W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: «Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu». Rzekła do

Niego kobieta: «Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przechodziła tu czerpać». A On jej odpowiedział: «Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!». A kobieta odrzekła Mu na to: «Nie mam męża». Rzekł do niej Jezus: «Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą». Rzekła do Niego kobieta: «Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga». Odpowiedział jej Jezus: «Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie». Rzekła do Niego kobieta: «Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko». Powiedział do niej Jezus: «Jestem nim Ja, który z tobą mówię» (J 4,5-26).

Później, jeszcze przed Jego świętą męką, przed zmartwychwstaniem i wniebowstąpieniem, będąc w świątyni jerozolimskiej podczas Świąta Namiotów, Jezus zawołał coś podobnego:

W ostatnim zaś, najbardziej uroczystym dniu święta, Jezus stojąc zawołał donośnym głosem: «Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza». A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego; Duch bowiem jeszcze nie był, ponieważ Jezus nie został jeszcze uwielbiony (J 7,37-39).

Oto jest właśnie odpowiedź na postawione już wcześniej pytanie, dlaczego Duch Święty nie mógł być nam dany, dopóki Jezus nie wstąpił do nieba. Dlatego, że dar Ducha Świętego jest darem na życie wieczne. Jest to dar nie tylko wzywający nas, ale też dający nam załączek życia wiecznego, umożliwiający nam takie przechodzenie przez życie doczesne, że już na tej ziemi coraz bardziej wchodzimy do życia wiecznego. I właśnie dlatego to, że ten Duch, Trzecia Osoba Boska, równa w Bóstwie Ojcu i Synowi, jest udzielany sercom naszym, jest możliwe tylko dzięki temu, że Jezus przeszedł przez krzyż, zmartwychwstał i wyniósł naszą ludzką naturę aż po prawicę swojego Ojca wszechmogącego.

A te słowa obietnicy, które Jezus wypowiedział, w naszym życiu zaczęły się realizować w dniu chrztu każdego z nas. Na ogół przyjęliśmy chrzest w niemowlęctwie, nie pamiętamy tego. Tego dnia Jezus Chrystus pochylił się nad każdym z nas, nade mną i nad tobą, i otworzył w mojej i twojej duszy źródło wody żywej. To źródło osobowe, któremu na imię Duch Święty, zostaje udzielony mnie i tobie, urodzonym jako pustynia, urodzonym w grzechu pierwotnym, uczestnikom winy całej naszej ludzkiej rodziny. Zostaje nam udzielona ta Miłość, którą Ojciec miłuje Syna, a Syn miłuje Ojca. To dlatego wcześniej Duch nie mógł być nam dany. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że nikt z nas do końca tego nie pojmuje. Boże dary przekraczają nasze pojmowanie, tak są niepojęte.

To między innymi dlatego nie umiemy sobie wyobrazić, jak to możliwe, że przez całą wieczność będziemy szczęśliwi w Bogu. Kiedyś przyszło mi do głowy, że to jest możliwe na tej zasadzie, że będziemy przemienieni w pieśń miłości do Boga – czy, jeżeli ktoś woli taniec, to w taniec miłości dla Boga. Będę cały śpiewający, cały tańczący, będę przemieniony w śpiew i taniec dla Boga. Piszę to, absolutnie wychodząc poza granice naszej ludzkiej wyobraźni – ale to wszystko dlatego, że dzięki Duchowi Świętemu

my stajemy się już teraz realnie, a będziemy się stawać coraz bardziej, jedno z Jezusem. Apostoł Paweł zwrócił nam uwagę na to, że już teraz Duch Święty, który został nam udzielony, przychodzi z pomocą naszej słabości:

Podobnie także Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami. Ten zaś, który przenika serca, zna zamiar Ducha, [wie], że przyczyniasię za świętymi zgodnie z wolą Bożą (Rz 8,26-27).

W Duchu Świętym jesteśmy zdolni realnie, prawdziwie wołać do Boga: „Abba, Ojczy, ukochany Ojczy”. A to jest możliwe tylko dlatego i tylko w takim stopniu, w jakim jesteśmy jedno z Jezusem. Lecz gdy już będziemy cali, bez reszty, zjednoczeni z Nim, wtedy zarazem będziemy cali, bez reszty, sobą. Wtedy właśnie ja i ty będziemy przemienieni, staniemy się wspianiałą, wiekuistą, nigdy się nie nudzącą pieśnią dla Boga, tańcem dla Boga. To są niesamowite rzeczy, jakie Bóg nam przygotował – On, który jest Ojcem i Synem, i Duchem Świętym, który udziela nam tej miłości, jaka jednoczy Ojca i Syna.

3. SAKRAMENTALNOŚĆ MAŁŻEŃSTWA

Zacznę od problemu, który choć nie dotyczy bezpośrednio większości tak zwanych „praktykujących” katolików, to jednak jest realnym problemem wielu ludzi. Mam na myśli ludzi, którzy żyją w związku cywilnym lub w związku nieformalnym, mimo że nie mają przeszkód formalnych, aby wejść w sakramentalne małżeństwo. Mogliby od początku wziąć ślub, ale jakoś byli na tyle letni w wierze, że to się nie stało – i w jakimś momencie przeważnie dzieje się tak, że jedna ze stron coraz bardziej naciska na zawarcie małżeństwa. Przychodzą do księdza i mówią tak: „Jesteśmy ze sobą już trzynaście lat. Nasz związek jest bardzo udany, mamy wielu znajomych, którzy mieli ślub kościelny i małżeństwo się im połamało. Proszę nam wyjaśnić, co takiego daje ślub kościelny?”. Zwykle takie osoby, które przychodzą z taką wątpliwością do kapłana, są już raczej nastawione pozytywnie, zazwyczaj już chcą ten sakrament zawrzeć, bardzo często z tego względu, że to da im dostęp do pełnego uczestnictwa w życiu Kościoła. Mimo tego chcą wiedzieć – i mają do tego prawo – co takiego daje sakrament małżeństwa, ślub kościelny, że w Kościele przywiązuje się do niego aż tak wielką wagę.

Pamiętam, że kiedy pierwszy raz spotkałem się z tym problemem, przyszedł mi do głowy Pałac w Wilanowie. Mianowicie, cały wielki Pałac w Wilanowie został wybudowany na fundamentach, które założono pod mały dworek szlachecki – a tak się jakoś budowało, że wyrósł pałac. Owszem, budowla przetrwała

od czasów króla Jana Sobieskiego i nic jej pozornie nie zagrażało – no ale fundamenty lepiej, żeby były dobre. Dlatego w latach sześćdziesiątych XX wieku podjęto decyzję założenia fundamentów stosownych do masy budowli. Patrząc z zewnątrz, pozornie nic się nie zmieniło, ale istotnie się zmieniło, bo od tamtego momentu ten pałac ma fundamenty – i to była moja odpowiedź, która tamtych ludzi wtedy najzupełniej zadowolila. Ta odpowiedź była, oczywiście, jednostronna i jakoś tam płytka, ale jednak prawdziwa. To jest to, co czytamy w Ewangelii:

Każdego więc, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztropnym, który dom swój zbudował na skale. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i uderzyły w ten dom. On jednak nie runął, bo na skale był utwierdzony. Każdego zaś, kto tych słów moich słucha, a nie wypełnia ich, można porównać z człowiekiem nierozsądnym, który dom swój zbudował na piasku. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki (Mt 7,24-27).

Ja rozumiem, że teraz być może dotykam rany niejednego z czytelników – niejednen bowiem raz dzieje się tak, że choć fundament był mocny, to małżonkowie o ten fundament nie dbali, a może nawet go rozwalili, i tak się potoczyło, jak się potoczyło. Bóg dopuszcza różne trudności i próby, czasem bardzo ciężkie – jednak to nie zmienia faktu i w niczym nie przeczy głoszonej przez Kościół prawdzie, że sakrament małżeństwa rzeczywiście daje moc do przetrwania tego wszystkiego, co dwoje ludzi we wspólnym życiu małżeńskim czeka.

Tutaj nigdy dość podkreślenia, że moc sakramentu małżeństwa, ta jego skuteczność, jest istotnie zakorzeniona w Eucharystii. Wszystkie sakramenty znajdują swoje zwieńczenie w Eucharystii.

A zatem, jeżeli małżonkowie, owszem, wzięli ślub kościelny, ale w gruncie rzeczy co najmniej jedna ze stron jest religijnie raczej obojętna, jeżeli nie w każdą niedzielę byli na mszy świętej, jeżeli do Komunii Świętej przystępowali rzadko, raz na rok lub na parę lat – to też nie sposób sakramentu oskarżać o to, że nie ma mocy. Jeżeli chcemy, żeby sakrament małżeństwa swoje owoce osiągał, trzeba dać łasce Bożej szansę.

Jednak najszczególniejszy sens sakramentu małżeństwa tkwi jeszcze gdzie indziej. Tu już wchodzimy w rejony pewnej może nawet mistyki, ale mistyki nawet dla najprostszego człowieka łatwo rozpoznawalnej. Mianowicie, małżeństwo sakramentalne – i dopiero małżeństwo sakramentalne! – daje realny udział życia tych dwojga w tajemnicy mistycznej miłości Chrystusa z Kościołem. Tutaj ludzie, którzy nie mają sakramentu małżeństwa – nie zawsze na skutek zaniedbania, czasem po prostu niemożliwe jest, żeby mieli, bo, na przykład, są nieochrzczeni – mogą być ogromnie uczciwi, ich życie wspólne może mieć ogromnie dużo sensu, ale tak naprawdę udziału w miłości Chrystusa i Kościoła nie doświadczają. To daje dopiero sakrament małżeństwa. Ja rozumiem, że to, co teraz piszę, może brzmieć górnołotnie, ale teraz przywołam ilustrujące to fragmenty Pisma Świętego. W Nowym Testamencie to będzie małżeństwo Chrystusa z Kościołem – jednak już w Starym Testamencie wielokrotnie mówi się o małżeństwie Boga ze swoim ludem. Zwłaszcza u proroków temat ten jest często podejmowany. Czytamy u Izajasza:

*Nie lękaj się, bo już się nie zawstydzisz,
nie wstydz się, bo już nie doznasz pohażbienia.
Raczej zapomnisz o wstydzie twej młodości.
I nie wspomnisz już hańby twego wdowieństwa.
Bo małżonkiem twoim jest twój Stworzyciel,
któremu na imię – Pan Zastępów;*

*Odkupicielem twoim – Święty Izraela,
nazywają Go Bogiem całej ziemi.
Zaiste, jak niewiastę porzuconą
i zgnębioną na duchu, wezwał cię Pan.
I jakby do porzuconej żony młodości
mówi twój Bóg:
Na krótką chwilę porzuciłem cię,
ale z ogromną miłością cię przygarnę.
W przystępie gniewu ukryłem
przed tobą na krótko swe oblicze,
ale w miłości wieczystej
nad tobą się ulitowałem,
mówi Pan, twój Odkupiciel.
Dzieje się ze Mną tak, jak za dni Noego,
kiedy przysiągłem, że wody Noego
nie spadną już nigdy na ziemię;
tak teraz przysięgam, że się nie rozjątrzę na ciebie
ani cię gromić nie będę.
Bo góry mogą ustąpić
i pagórki się zachwiać,
ale miłość moja nie odstąpi od ciebie
i nie zachwieje się moje przymierze pokoju,
mówi Pan, który ma litość nad tobą (Iz 54,4-10).*

Ten temat: Bóg jako małżonek swojego ludu, lubi się wyrażać w dwóch tradycjach dopełniających się wzajemnie, bo lud jest małżonką jednocześnie kochającą i wierną, ale niestety również niewierną i zdradzającą. Bardzo wiele materiału znajdziemy na ten temat właśnie u proroka Izajasza oraz u proroka Jeremiasza. Niektóre obrazy biblijne są wręcz drastyczne, gdy Bóg oskarża swoją małżonkę, czyli swój lud, że zdradzała go z całą bezczelnością. Prorocy nie przebierają w słowach:

Pamiętam wierność twojej młodości,
miłość twego narzeczeństwa,
kiedy chodziłaś za Mną na pustyni,
w ziemi, której nikt nie obsiewa. [...]
Od dawna bowiem złamałaś swoje jarzmo,
zerwałaś swoje więzy
Powiedziałaś sobie: „Nie będę służyć!”
Na każdym więc wysokim pagórku
i pod każdym zielonym drzewem
pokładałaś się jako nierządnicą.
A Ja zasadziłem ciebie jako szlachetną latorośl winną,
tylko szczep prawdziwy.
Jakże więc zmieniłaś się
w dziki krzew, zwyrodniałą latorośl?
Nawet jeśli obmyjesz się ługiem sodowym
i dodasz wiele ługu drzewnego,
pozostanie wina twoja wobec Mnie jak skaza
– wyrocznia Pana.
Jak możesz mówić: „Nie uległam skażeniu,
nie chodziłam za Baalami”?
Spójrz na swe postępowanie w Dolinie,
przyznaj się, coś uczyniła!
Młoda szybkonoga wielbłądzica, brykająca na wszystkie strony,
wyrrywając się na pustynię
w swej niepokohamowanej namiętności chwyta łapczywie
powietrze.
Któż powstrzyma jej żądzę?
Ktokolwiek jej szuka, nie musi się trudzić:
znajdzie ją w miesiącu jej rui.
Uważaj na swoje nogi, aby nie stały się bose,
i na swoje gardło, aby nie wyschło.
Lecz ty mówisz: „Na próżno! Nie!

Kocham bowiem obcych i pójdę za nimi”.
Jak złodziej pełen jest wstydu, gdy zostanie schwytyany,
tak okrył się wstydem dom Izraela:
oni, ich królowie i przywódcy,
ich kapłani i prorocy (Jr 2,2b.20-26).

Również Księga Ozeasza wyraża wytrwałą miłość Boga do swej małżonki-ludu, pomimo że małżonek-Bóg jest nieustannie przez swoją małżonkę zdradzany:

Matka ich bowiem uprawiała nierząd,
okryła się hańbą ta, co je poczęła;
mówiła bowiem: „Pobiegnę za swymi kochankami,
co chleb mi dają i wodę,
węgę, len, oliwę i napój”.
Dlatego zamknę jej drogę cierniami
i murem otoczę,
tak że nie znajdzie swych ścieżek.
Za kochankami swymi pobiegnie,
ale ich nie dogoni;
pocznie ich szukać,
ale nie znajdzie.
Wtedy powie:
„Pójdę i wrócę do mego męża pierwszego,
bo wówczas lepiej mi było niż teraz”. [...]
Zniszczę jej winnice i sady figowe,
o których mówiła:
„Oto zapłata moja,
jaka mi dali moi kochankowie”.
W gąszcz je obrócę
i będą się nimi pasły polne zwierzęta.
Ześlę na nią karę za dni Baalów,

*gdy im paliła kadzidła,
a zdobna w swe kolczyki i naszyjniki biegła za swymi
kochankami,
a o Mnie zapomniała
<wyrocznia Pana>.
Dlatego chcę ją przynęcić,
na pustynię ją wyprowadzić
i mówić jej do serca.
Oddam jej znowu winnice,
dolinę Akor uczynię bramą nadziei –
i będzie Mi tam uległa jak za dni swej młodości,
gdy wychodziła z egipskiego kraju.
I stanie się w owym dniu – wyrocznia Pana –
że nazwie Mnie: „Mąż mój”,
a już nie powie: „Mój Baal”. [...]
I poślubię cię sobie [znowu] na wieki,
poślubię przez sprawiedliwość i prawo,
przez miłość i miłosierdzie.
Poślubię cię sobie przez wierność,
a poznasz Pana (Oz 2,7-9.14-18.21-22).*

Pragnącym bardziej zgłębić temat mistycznej miłości Boga i jego ludu polecam przede wszystkim Pieśń nad Pieśniami. To wyjątkowo piękna, zachwycająca pieśń o wspaniałej miłości Boga ze swoim ludem:

*Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust!
Bo miłość twa przedniejsza od wina.
Woń twych pachnidłał słodka,
olejek rozlany – imię twe,
dlatego miłują cię dziewczęta.
Pociągnij mnie za sobą! Pobiegnijmy!*

*Wprowadź mnie, królu, w twe komnaty!
Cieszyć się będziemy i weselić tobą,
i sławić twą miłość nad wino;
[jakże] słusznie cię miłują!
Śniada jestem, lecz piękna,
córki jerozolimskie,
jak namioty Kedaru,
jak zasłony Szalma.
Nie patrzcie na mnie, żem śniada,
że mnie spaliło słońce.
Synowie mej matki rozgniewali się na mnie,
postawili mnie na straży winnic:
a ja mej własnej winnicy nie ustrzegłam.
O ty, którego miłuje dusza moja,
wskaz mi, gdzie pasiesz swe stada,
gdzie dajesz im spocząć w południe,
abym się nie błąkała
wśród stad twych towarzyszy [...]
Gdy król wśród biesiadników przebywa,
nard mój rozsiewa woń swoją.
Mój miły jest mi woreczkiem mirry
wśród piersi mych położonym.
Gronem henny jest mi umiłowany mój
w winnicach Engaddi (Pnp 1,2-7.12-14).*

Tutaj myślę, że każdy z małżonków, w zależności od swojej osobistej sytuacji małżeńskiej, odnajdzie coś dla siebie. Natomiast niewątpliwie w szczególnej sytuacji znajdują się te osoby, które, porzucone przez sakramentalnych współmałżonków, stoją przed wielkim duchowym wyzwaniem dotrzymania wierności złożonej przysiędze. Przed takimi osobami stoi pytanie zapewne o wiele trudniejsze niż przed przeciętnymi małżonkami, to

znaczy: „W jaki sposób ja moje sakramentalne małżeństwo, które po ludzku biorąc się rozpadło, mogę przemieniać już teraz?”. Tutaj musimy sobie uświadomić przede wszystkim fakt, że nie jest to tylko płonne oczekiwanie. Wiara w to, że Bóg, który jest wszechmocny, potrafi uzdrowić już teraz zrujnowane małżeństwo i przemienić je w udział w miłości Chrystusa i Kościoła ma realne przesłanki. Jeśli Bóg obiecuje w sakramencie swą łaskę, to nie odmawia pomocy.

W Nowym Testamencie małżeństwo zawarte w obliczu Boga jest udziałem w miłości Chrystusa i Kościoła. To naprawdę nie jest przypadek, że swoją działalność publiczną Pan Jezus praktycznie zaczął od wesela:

Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. [...] Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie (J 2,1-2.11).

Sługa Boży ksiądz Prymas Stefan Wyszyński ogromnie lubił mówić księżom, że zadaniem księdza w Kościele jest być drużbą Pana Jezusa. Cieszyć się, że Oblubieniec jest przyjmowany, kochany, troszczyć się o to, żeby z tym weselem było jak najpiękniej, starać się przysposobić możliwie jak najgodniej oblubienicę dla Niego. Pan Jezus powiedział sam o sobie, że jest Panem Młodym, Oblubieńcem:

Wtedy podeszli do Niego uczniowie Jana i zapytali: «Dlaczego my i faryzeusze dużo pościmy, Twój zaś uczniowie nie postują?». Jezus im rzekł: «Czy goście weselni mogą się smucić, dopóki pan młody jest z nimi? Lecz przyjdzie czas, kiedy zabiorą im pana młodego, a wtedy będą pościć (Mt 9,14-15).

W tej perspektywie pokazywał misję Jezusa św. Jan Chrzciiciel, on widzi się družbą na weselu Syna Bożego, który wziął ślub ze swoim ludem:

Przyszli więc do Jana i powiedzieli do niego: «Nauczycielu, oto Ten, który był z tobą po drugiej stronie Jordanu i o którym ty wydałeś świadectwo, teraz udziela chrztu i wszyscy idą do Niego». Na to Jan odrzekł: «Człowiek nie może otrzymać niczego, co by mu nie było dane z nieba. Wy sami jesteście mi świadkami, że powiedziałem: Ja nie jestem Mesjaszem, ale zostałem przed Nim posłany. Ten, kto ma oblubienicę, jest oblubieńcem; a przyjaciel oblubieńca, który stoi i słucha go, doznaje najwyższej radości na głos oblubieńca. Ta zaś moja radość doszła do szczytu. Potrzeba, by On wzrastał, a ja się unniejszał. Kto przychodzi z wysoka, panuje nad wszystkimi, a kto z ziemi pochodzi, należy do ziemi i po ziemsku przemawia. Kto z nieba pochodzi, Ten jest ponad wszystkim. Świadczy On o tym, co widział i słyszał, a świadectwa Jego nikt nie przyjmuje. Kto przyjął Jego świadectwo, wyraźnie potwierdził, że Bóg jest prawdomówny. Ten bowiem, kogo Bóg posłał, mówi słowa Boże: a z niezmiernych obfitości udziela [mu] Ducha. Ojciec miłuje Syna i wszystko oddał w Jego ręce. Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne; kto zaś nie wierzy Synowi, nie ujrzy życia, lecz grozi mu gniew Boży» (J 3,26-36).

Krótko mówiąc, przyjdzie Syna Bożego na świat, to jakby zaślubiny Boga z Kościołem. Oto przyszedł już na tę ziemię Oblubieniec, żeby poślubić swoją oblubienicę, lud Boży, który będzie wiekuistą towarzyszką Bożą. I w związku z tym nie trzeba się dziwić, że Apostołowie pokazywali naszą relację wobec Boga jako relację małżeńską. Święty Paweł pisze tak:

O, gdybyście mogli znieść trochę szaleństwa z mojej strony! Ależ tak, wy i mnie znoscie! Jestem bowiem o was zazdrosny Boską za-

zdrością. Poślubiłem was przecież jednemu mężowi, by was przedstawić Chrystusowi jako czystą dziewicę. Obawiam się jednak, ażeby nie były odwiedzone umysły wasze od prostoty i czystości wobec Chrystusa w taki sposób, jak w swojej chytrności wąż uwiódł Ewę (11,1-3).

W innym tekście, który chyba wszyscy mamy w uszach, bo jest on czytany na co drugim ślubie, św. Paweł pisze:

Bądźcie sobie wzajemnie poddani w bojaźni Chrystusowej! Żony niechaj będą poddane swym mężom, jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak i Chrystus – Głową Kościoła: On – Zbawca Ciała. Lecz jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak i żony mężom – we wszystkim. Mężowie miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie, aby go uświęcić, oczyszczywszy obmyciem wodą, któremu towarzyszy słowo, aby osobiście stawić przed sobą Kościół jako chwalebny, niemający skazy czy zmarszczki, czy czegoś podobnego, lecz aby był święty i nieskalany. Mężowie powinni miłować swoje żony, tak jak własne ciało. Kto miłuje swoją żonę, siebie samego miłuje. Przecież nigdy nikt nie odnosił się z nienawiścią do własnego ciała, lecz [każdy] je żywi i pielęgnuje, jak i Chrystus – Kościół, bo jesteśmy członkami Jego Ciała. Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła. W końcu więc niechaj także każdy z was tak miłuje swą żonę jak siebie samego! A żona niechaj się odnosi ze czcią do swojego męża! (Ef 5,21-33).

Oj tak, niech mężowie miłują swe żony – i wydawałoby się, że Apostoł pójdzie w tym kierunku, rozwinie ten wątek. On tymczasem od razu ześlizguje się na miłość Chrystusa do Kościoła. To

jest ta perspektywa, że my, grzeszni, pod działaniem łaski Bożej jesteśmy przemieniani właśnie w świętą i nieskalaną oblubienicę Chrystusa. Przyznam, że doświadczyłem tej mistycznej tajemnicy na swój, kapłański sposób. Otóż jednego pięknego dnia uprzytomniłem sobie, że chociaż w swoim życiu błogosławiłem setki małżeństw, to nie zdarzyło mi się ani razu, żeby panna młoda nie była śliczna. Owszem, są różne gusta i różne są typy urody. Jednak jest w każdej panience młodej coś takiego tajemniczego, jakiegoś nieuchwytnego, mistycznego wręcz piękno – to jest cień tego piękna, jakim Chrystus chce obdarzyć swoją oblubienicę i małżonkę, Kościół. Panna młoda zawsze stanowi żywe proroctwo, znak eschatologiczny, wyrażający naszą wiarę, że Chrystus Pan chce i potrafi doprowadzić swój Kościół do piękna ostatecznego.

Teraz my, Jego Kościół, jesteśmy grzesznikami. Chrystus Pan takich właśnie, grzesznych, nas kocha. On chce nas od grzechu uwolnić i obdarzyć nas łaską. W miarę, jak Jego miłość będziemy przyjmowali, będziemy coraz piękniejsi. W cytowanym tekście Listu do Efezjan św. Paweł mówi o czymś, czego nie można przełożyć dokładnie na język polski. Mówiąc o oczyszczeniu wodą (oczywiście, chodzi o chrzest), Apostoł używa terminu *to loutron*. Oznacza on rytualną kąpiel panny młodej, co było w tamtych czasach częścią uroczystości weselnych. Otóż Paweł powiada, że chrzest jest taką jakby kąpielą ślubną Kościoła, której celem jest sprawienie, abyśmy byli piękni i oddani Chrystusowi, tak żeby mógł On nas doprowadzić do momentu, kiedy już do końca staniemy się Kościołem chwalebny, nie mającym skazy ani zmarszczki, i już cali będziemy święci i nieskalani.

Apostoł Paweł mówi o jednym Kościele, bo Chrystus Pan ma tylko jedną Oblubienicę. To jest ten Kościół, do którego włączały się kolejne pokolenia wyznawców Chrystusa. W Apokalipsie napisano, że Bóg gromadzi sobie „wielki tłum, którego nie mógł nikt policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i ję-

zyków, stojący przed tronem i przed Barankiem” (Ap 7,9). Otóż również w Apokalipsie miłość Chrystusa do Kościoła przedstawiona jest w symbolice ślubnej, w obrazie Godów Baranka:

*I usłyszałem jakby głos wielkiego tłumu
i jakby głos mnogich wód,
i jakby głos potężnych gromów,
które mówiły:
«Alleluja,
bo zakrólował Pan Bóg nasz, Wszechmogący
Weselmy się i radujmy,
i dajmy Mu chwałę,
bo nadeszły Gody Baranka,
a Jego Małżonka się przystroiła,
i dano jej oblec bisior lśniący i czysty» –
bisior bowiem oznacza czyny sprawiedliwe świętych.
I mówi mi:
«Napisz:
Błogosławieni, którzy są wezwani na ucztę Godów Baranka!»
I mówi mi:
«Te prawdziwe słowa są Boże» (Ap 19,6-9).*

Wspomniany tutaj bisior oznacza czyny sprawiedliwe świętych. To bardzo ważny przyczynek dla naszego tematu sakramentalności małżeństwa. Bo przecież właśnie sakrament małżeństwa jest źródłem łask, które uzdalniają małżonków do skutecznego wypełniania ślubnej przysięgi. Jedynie mocą łask tego sakramentu możliwe będzie dochowanie wierności małżeńskiej nawet po odejściu współmałżonka. Bo tę trudną wierność można wówczas oddawać Chrystusowi jako wyraz naszej oblubieńczej miłości do Niego. To jeszcze jedna odsłona tego, co nam daje sakrament małżeństwa. Tu wróćmy do Kany Galilejskiej. Opowieść o pierwszym cudzie Jezusa,

wyproszonym przez wstawiennictwo Marii, pięknie ukazuje nam łaski kryjące się w sakramencie małżeństwa:

A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: «Nie mają już wina». Jezus Jej odpowiedział: «Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?». Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: «Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie». Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus: «Napełnijcie stągwie wodą!». I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: «Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!». Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: «Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory» (J 2,3-10).

Krótko mówiąc, żeby małżeństwo miało sens na życie wieczne, kluczowe znaczenie ma właśnie wierność małżeńska. To jest w ogóle, w gruncie rzeczy, przeogromny i główny sens obecnego życia w ziemskim małżeństwie, że wierność zachowana tutaj będzie owocowała na życie wieczne, ona ma sens na życie wieczne. Jak to ma się jednak do wydarzenia z Kany Galilejskiej? Otóż, Chrystus Pan z małżeństwem czyni podobnie jak uczynił w Kanie Galilejskiej z wodą: zamienia w wino. Czego, oczywiście, nie mógłby uczynić, gdyby słudzy posłusznie nie napełnili stągwi wodą. W każdym sakramentalnym małżeństwie ogromnie ważne jest – i to jest obowiązek małżonków – stągwie napełniać wodą, do pełna, po brzegi, wodą czystą, nie byle jaką. Wtedy Chrystus Pan tę wodę przemienia w wino. Ojcowie Kościoła tu-

taj mówili, że jest to wino upajające Duchem Świętym, i ufajmy, że smak tego wina już teraz każdy małżonek może poczuć. nawet ten małżonek porzucony, nawet jeśli do pojednania jeszcze nie doszło. Kto wie, może nawet w niektórych przypadkach do pojednania i odbudowy małżeństwa już tutaj, na ziemi, nie dojdzie, ale to wino, smak tego wina można poczuć zawsze. I co jest niezwykle ważne, to świadomość, że im dalej, tym to tym wino jest smaczniejsze, bogatsze. Jezus Chrystus daje same najlepsze rzeczy, On nie robi niczego wybrakowanego. Starosta weselny to zauważył i skomentował z zaskoczeniem.

4. DOM DUCHOWY

Tego, jak ważny jest dla człowieka dom, nie trzeba nikomu tłumaczyć. Dom w znaczeniu korzeni, dom w znaczeniu rodzinnym, emocjonalnym – ale również ten dom materialny. Zresztą, w tym ostatnim wymiarze, jako miejsce zamieszkania, ważny nie tylko dla człowieka, także dla zwierząt gniazdo czy nora jest przedmiotem wielkiej walki. Chyba każdy z nas wie dobrze, a niektórzy, w naszej, polskiej rzeczywistości, z własnego doświadczenia, jak ciężko jest małżeństwu czy rodzinie bez domu, kiedy się mieszka gdzieś, kątem, u rodziców jednego z małżonków albo kiedy jakieś nieszczęście, klęska, powódź czy pożar, ten dom odbierze. A cóż dopiero powiedzieć o domu w rozumieniu duchowym, emocjonalnym?

„Przyszłość ludzkości idzie poprzez rodzinę” – napisał w podsumowaniu adhortacji apostołskiej na temat rodziny św. Jan Paweł II (*Familiaris consortio*, 86). Tymczasem rodzina – podobnie jak inne domy duchowe, tzn. podobnie jak Ojczyzna i Kościół – przeżywa dzisiaj duży kryzys. Kwestionowane jest nawet małżeństwo jako fundament rodziny. Rośnie liczba rozwodów, i co jeszcze gorzej, wzrasta aprobatą dla rozwodu jako sposobu rozwiązywania konfliktów rodzinnych. Coraz więcej par podejmuje kohabitację bez ślubu, nawet bez ślubu cywilnego. Wysoki i coraz większy jest odsetek dzieci pozamałżeńskich. Zanikają więzi między dorosłym rodzeństwem, a nawet więzi dorosłych dzieci z rodzicami. Kilka lat temu gazety podały porażającą wiadomość,

że 10% dorosłych Francuzów nie wie przynajmniej o jednym ze swoich rodziców, czy jeszcze żyje.

Te i podobne fakty mogą nas przygnębiać. Jednak nie zapominajmy, że nasz świat jest Boży. Toteż mamy absolutną pewność, że zło ostatecznie przegra. Zatem sam rozum podpowiada nam, że zawsze i bez wyjątku trzeba opowiadać się po stronie dobra – nie tylko wtedy, kiedy ono przegrywa, ale również wtedy, kiedy różnym ludziom wydaje się, że klęska jego jest nieunikniona. Dopiero dzięki tej postawie świat istotnie zmienia się na lepsze. Obrazowo wyjaśnił to – w przeddzień swojej śmierci męczeńskiej, w roku ok. 108 – biskup Ignacy, w liście do młodego biskupa Polikarpa, w przyszłości również męczennika: „Trwaj niezłomnie jak kowadło pod ciosami młota. Wielki to zawodnik, który jest bity, a zwycięża”.

We wspomnianej apostołskiej adhortacji (nr 18) św. Jan Paweł II przypomina tę zwyczajną prawdę życiową, że rodzina jest to wspólnota mężczyzny i kobiety jako małżonków i jako rodziców oraz ich dzieci i krewnych. Nieodzownym warunkiem trwania i dobrego funkcjonowania rodziny jest miłość. Jest tak dlatego, że stworzył nas Ten, który jest Miłością, a stworzył nas na swój obraz i podobieństwo.

Tutaj przypominają się słynne słowa z pierwszej encykliki Jana Pawła II: „Człowiek nie może żyć bez miłości. Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, jego życie jest pozbawione sensu, jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej żywego uczestnictwa” (Redemptor hominis, 10).

Normalnie, początkiem małżeństwa i rodziny jest ślub, czyli uroczyste wzajemne zobowiązanie się wobec rodziny, przyjaciół i znajomych, że pragniemy być mężem i żoną do końca naszego życia, że chcemy mieć dzieci i postanawiamy jak najlepiej je wy-

chować. Dla nas katolików ślub jest czymś jeszcze więcej – zobowiązanie to wypowiadamy również w wymiarze religijnym, wobec Boga i aniołów, licząc na Bożą pomoc w realizowaniu tego postanowienia.

Małżonkowie są fundamentem rodziny. Mówiąc w największym skrócie: Dla męża żona, a dla żony mąż powinien być absolutnie pierwszym człowiekiem życia, człowiekiem kochanym na pierwszym miejscu, nawet przed ojcem i matką, nawet przed rodzonymi dziećmi. Nie chodzi o to, że własne dziecko mam kochać mniej niż współmałżonka. Dziecko, każde z naszych dzieci, mamy kochać w naszej miłości małżeńskiej, ono w niej się poczęło, w niej zostało przyjęte i w niej – w naszej wspólnej miłości – powinno być wychowywane.

Zatem nie powinno się zdarzać, że po urodzeniu dziecka małżonkowie, albo jedno z nich, tak bardzo na nim skupiają swoją miłość, że współmałżonek zostaje niejako odsunięty na bok. Nieszczęsne to dziecko, które taką właśnie miłością jest kochane. Od samego początku traktowane jako ktoś w rodzinie najważniejszy, zostanie prawdopodobnie wychowane na wielkiego egoistę. Podobnie jak miłość bliźniego dopiero wtedy jest w pełni autentyczna, jeżeli jest zanurzona w miłości Boga, analogicznie rodzice wtedy autentycznie kochają swoje dzieci, jeżeli ich miłość zanurzona jest w ich autentycznej miłości małżeńskiej.

To jeszcze trzeba dodać, że nasza miłość małżeńska winna również potwierdzać miłość do rodziców i teściów, i całej rodziny: Ciebie, mojego męża (moją żonę) kocham jako tego, który (tę, która) jesteś związany(a) szczególną miłością ze swoimi rodzicami, braćmi i siostrami; niech te Twoje więzi miłości z Twoimi bliskimi wzbogacają nie tylko Ciebie, ale również nasze małżeństwo i nasze dzieci.

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że dom duchowy posiada trzy wymiary. Po pierwsze, dom duchowy to jest to, że możemy

być u siebie. Po wtóre, dom duchowy to jest wspólnota bliskich sobie i wzajemnie sobie oddanych, wspomagających się osób. Po trzecie, dom duchowy jest to miejsce bezpieczeństwa, gdzie nie dochodzą (albo przynajmniej mają utrudniony dostęp) różne siły nam nieprzyjazne. Te trzy wymiary dotyczą wszystkich trzech wymienionych przeze mnie domów duchowych: Ojczyzny i Kościoła, ale również rodziny.

Zacznijmy od wymiaru pierwszego. Stara to i pojawiająca się zapewne w różnych cywilizacjach intuicja, że być u siebie to znaczy być wolnym. To właśnie dlatego starożytni Grecy wolną kobietą (*he eleuthera gyne*) nazywali nie pannę ani wdowę, ale właśnie mężatkę, bo ona jest gospodynią we własnym domu. Ta sama intuicja kazała Rzymianom nazywać dzieci *liberi*, czyli “istoty wolne”, jako że dziecko – w przeciwieństwie do niewolnika – jest u siebie w domu. Podobna logika przeciwstawiania wolności i jej braku znajduje się w takich naszych przysłowiacz, jak np. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”, „Co w domu, do tego nikomu”, „Własny domek mały miłszy jest niż cudze pałace”.

Na ten wymiar domu zwrócił uwagę sam Pan Jezus, kiedy mówił: „Każdy, kto popełnia grzech, jest niewolnikiem grzechu. A niewolnik nie przebywa w domu na zawsze, lecz Syn przebywa na zawsze” (J 8,34-35). Pan Jezus mówił to o Kościele jako o naszym domu: w Kościele tak naprawdę jestem u siebie wtedy, kiedy żyję w łasce uświęcającej, kiedy nie jestem niewolnikiem grzechu. Bo kiedy jestem niewolnikiem grzechu, to owszem, jestem w domu, ale – tak jak Pan Jezus powiedział – niewolnik nie pozostaje w domu na zawsze.

Rodziną jako domem duchowym rządzą prawa analogiczne. Jeżeli w rodzinie zaczyna brakować wzajemnej miłości, jej członkowie – wszyscy albo niektórzy z nich – czują się we własnym domu nie do końca u siebie. Nieraz aż do tego stopnia, że pojawia się pokusa ucieczki z domu – do kumpli spod budki z piwem,

w pracoholizm albo w jakieś (zazwyczaj toksyczne, niekiedy prowadzące aż do rozpadu małżeństwa) przyjaźnie. Dom staje się wtedy przede wszystkim hotelem, gdzie można się przespać i korzystać z lodówki.

Ażeby uciekać z domu, niekoniecznie musi się z niego wychodzić. Ucieczka z domu może niekiedy przybrać formę emigracji wewnętrznej – szczególnie skutecznej od czasów ułatwionego dostępu do telewizji, a zwłaszcza do internetu. Zamykamy się wówczas w swoich czterech ścianach, izolując się od innych domowników, siedząc godzinami i niekoniecznie potrzebnie przy telewizorze albo komputerze. Niestety, niekiedy rodzice, chcąc mieć w domu więcej spokoju, sami wysyłają swoje dzieci na taką „emigrację”.

Problem jest niesłychanie poważny, bo przecież wyobcowanie z własnego domu, prowadzące niekiedy aż do tego, że człowiek ma ochotę z niego uciekać, niepokojąco często owocują alkoholizmem, narkomanią, małżeńskimi trójkątami.

Zwłaszcza dorośli członkowie rodziny powinni bardzo starać się o to, ażeby dla wszystkich jej członków dom był naprawdę ich własnym domem. W miarę możliwości winni również starać się o to, żeby również małym dzieciom dawać szansę aktywnego przyczyniania się do kształtowania zarówno jego urządzenia, jak panującej w nim atmosfery. Nic tak skutecznie nie przywiązuje do domu, jak realny (nawet jeżeli drobny i niemal tylko symboliczny) udział w jego kształtowaniu.

Drugi wymiar domu – dom jest wspólnotą bliskich sobie osób, dzielących swoje radości i kłopoty, wzajemnie sobie pomagających i uzupełniających się. Każdy – zarówno potrzebujący pomocy jak jej udzielający, zarówno młody jak stary, zdrowy jak chory – jest w domu kimś ważnym i pełni sobie właściwą rolę. Jeżeli rodzina znalazła się w jakiejś trudnej sytuacji, jej członkowie starają się wspólnie, każdy stosownie do swoich możliwości, stawiać jej

czoła. Kiedy natomiast w sytuacji trudnej znalazł się któryś z jej członków (nawet jeżeli stało się to z jego winy), pozostali starają się być przy nim i go wspierać.

Podstawą tego domu duchowego, którym jest rodzina chrześcijańska, jest przymierze małżonków, sakrament małżeństwa. Dzięki sakramentowi już nie jest tylko tak, że małżonkowie obdarowują się sobą wzajemnie. Tak ostatecznie to sam Pan Bóg daje mężczyźnie w darze jego żonę, a kobiecie – jej męża. Sam Pan Bóg zobowiązuje się pomagać tej parze, aby – jeśli tylko oboje będą wierni Jego łasce – tworzyła ona piękne małżeństwo i dała początek pięknej rodzinie.

Warto jednak nie zapominać, że dary Boże lubią być trudne i przez to nie stają się mniejszymi darami. Krótko mówiąc, trudna żona, trudny mąż też jest darem Bożym i to jest wielki temat do przepracowania. Bo jeżeli ten mój mąż, ta moja żona ewidentnie mnie krzywdzi, gorzej, jeśli krzywdzi nasze dzieci... Oczywiście, takie czy inne żale obiektywnie wolno mi mieć – ale jednocześnie muszę pamiętać, że ten właśnie mąż, żona jest darem Bożym. Bo to, co w danej osobie jest niedobrego, niepożądanego, to nie jest darem Bożym – ale sama osoba jest darem Bożym. Dobrze ilustruje tę prawdę to, co w pewnym sensie odkryliśmy stosunkowo niedawno, gdzieś na przestrzeni ostatnich stu lat, że również dziecko upośledzone jest wielkim darem Bożym. Nie jest darem Bożym jego upośledzenie, ale ono jest darem. Toteż kiedy w rodzinie pojawi się dziecko upośledzone, zamiast mieć pretensje do Pana Boga: „Dlaczego akurat mnie to spotkało?”, stawiamy sobie pytanie o wiele ważniejsze: „Jaką miłością powinniśmy to nasze dziecko otoczyć? Jaka miłość jest temu naszemu dziecku potrzebna?”.

I między innymi na tym polega to, że dom to jest wspólnota bliskich sobie, kochających się osób. Statystyki podają, że 90% Polaków zeznaje, że doświadczyło agresji we własnej rodzinie. Jeśli aż

tyle osób tak mówi, to nie jest rzecz wyssana z palca. Oczywiście, można pytać, jak ta agresja została zdefiniowana, ale to są tematy, trzeba sobie stawiać. Jest faktem, że w wielu naszych domach krzyk jest podstawowym narzędziem wzajemnej komunikacji – i coś z tym faktem trzeba robić. Jeżeli jesteśmy wspólnotą bliskich sobie, kochających się osób, to nie wolno zapominać o tym, że te osoby, które jakoś mnie kochają, stanowią dla nas pewne zadanie, są nam niejako przez Boga zadane. Czymś niezwykle ważnym jest tę drugą osobę – czy osobę żony, czy osobę męża, czy osobę każdego z dzieci – zauważać. Chodzi nie tylko o to, że mamy pilnować tego, żeby ich potrzeby były zaspokojone, że dziecko również na lekcje tańca może dobrze by było wysłać. Ale chodzi przede wszystkim o to, żeby starać się rozmawiać, sprawić radość, pochwalić – mnóstwo takich rzeczy dość oczywistych.

Rodzina to wspólnota osób, które żyją, i wobec tego podlegają różnym czy to chorobom, czy to nieszczęściom. Niezwykle często się zdarza, że choroba jednego członka rodziny – sama w sobie będąca czymś bardzo niepożądanym – jednoczy wszystkich bliskich. To jest wielkie doświadczenie w jakim sensie na pewno każdego z nas. Oczywiście, że to wymaga zmobilizowania się, różnych ofiar, ale zarazem niezwykle łączy rodzinę. I to jest właśnie tajemnica wynikająca stąd, że żyjemy w świecie, który jest światem Bożym, że ten świat stworzył Bóg, który jest Miłością. My naszymi grzechami możemy dużo nabrudzić, ale raz po raz tego możemy doświadczyć, że nawet ze zła można wyciągnąć coś dobrego.

Opowiadał mi znajomy inżynier, który przez kilka lat pracował w jakimś kraju arabskim: „Wiesz, przez pierwszy rok to oni się tobie przyglądają. A jak uznają już, że jesteś w porządku, to zaczynają tak się skradać do ciebie i, zawsze w cztery oczy, stawiać jedno nurtujące ich pytanie...” – i on mówi, że ciągle te pytania mu stawiali, coraz to kto inny, a mianowicie: „Słuchaj, ja wiem,

że to jest nieprawda, ale u nas mówią, że wy, w Europie, to macie takie domy, do których wysyłacie swoich staruszków...?”. Ten mój znajomy na to odpowiadał: „Oczywiście, że to nieprawda, bo u nas staruszkowie to na ogół mają własne mieszkania, a jak już przychodzi niedołężność, to na ogół któreś z dzieci staruszka przyjmuje. No ale... Jak nie mieli dzieci, to wtedy rzeczywiście, no mamy takie domy”. I wtedy Arabowie niezmiennie wpadali w głębokie i ponure zgorzenie. „Co to znaczy, że nie mają dzieci?! Przecież jakichś kuzynów mają! Co to znaczy, żeby starego człowieka wysyłać gdzieś, do takiego domu, gdzie jego głównym obowiązkiem jest jak najszybciej umrzeć?!”. Ja, oczywiście, nie próbuję tu krytykować instytucji Domu Spokojnej Starości, bo te placówki mają sens, Arab nie musi do końca rozumieć naszych społecznych układów – wydaje mi się jednak, że w to zgorzenie arabskie warto się wsłuchać, bo coś za tym stoi.

Trzeci wymiar duchowego domu: jest to miejsce, w którym możemy znajdować i w którym należy się nam bezpieczeństwo. Zwłaszcza dla dzieci dom rodzinny powinien być naprawdę miejscem bezpieczeństwa. Zwłaszcza w domu dziecko powinno być chronione od wszelkiej poważniejszej krzywdy. Tutaj przecież mieszkają ludzie dorośli – przede wszystkim rodzice – którzy powinni je chronić od krzywd, jakie mogą spotkać dziecko w domu, ale i poza domem. Powinni je chronić również od dostępu do alkoholu, narkotyków czy pornografii. Ale również od moralnego relatywizmu czy propagandy antyreligijnej, która bywa niekiedy całkiem oficjalnie włączana dzieciom we współczesnej szkole.

Z tego rodzaju zagrożeniami jest dość podobnie, jak z zagrożeniem ze strony bandytów czy zagrożeniem militarnym ze strony wrogiego państwa. Skuteczna obrona dość często przekracza możliwości pojedynczych ludzi, nieraz wymaga społecznego zorganizowania się. Otóż również wtedy, kiedy skuteczna obrona naszych dzieci przed narzucaniem moralnego relatywizmu czy

agresywnego laicyzmu przekracza możliwości pojedynczych rodziców, trzeba organizować sprzeciw społeczny wobec tego rodzaju ataków na nasze dzieci.

Dom jest miejscem posiłku, odpoczynku, wsparcia. Tu jest miejsce, gdzie wolno mi się spodziewać ludzkiej życzliwości i uczucia. Z tej perspektywy dom jako miejsce bezpieczeństwa nabiera dodatkowo potężnej wagi w dzisiejszych czasach, kiedy jesteśmy ze wszystkich stron atakowani różnymi niedobrymi treściami. I to chodzi nie tylko o to, że treściami przeciwnymi wierze, ale różnymi głupotami, które mogą bardzo niedobrze wpłynąć na przyszłe życie naszych dzieci. Krótko mówiąc, to jest temat, który czeka na takie uaktualniające opracowanie, temat pod tytułem: „Twierdzą niech będzie każdy próg”. Jak wtedy, gdy dom polski był miejscem, w którym chroniliśmy naszą polskość, naszą przynależność do rodzimej kultury, tak w czasach dzisiejszej laicyzacji, demoralizacji, takiego przymusu nazywania zła czymś dobrym – to jest coraz bardziej nagląca potrzeba.

5. RODZINA MAŁYM KOŚCIOŁEM

Najpierw spróbujmy rozproszyć wątpliwość, która zapewne nikomu z nas nie jest obca: Czy nazywając katolicką rodzinę Kościołem; nie odbieramy słowu „Kościół” właściwego mu sensu?

Ludzie, którzy szukają Boga, jakoś Go znajdują i starają się oddawać Mu cześć, nie stają się jeszcze przez to Kościołem. Kościołem stajemy się dopiero wówczas, kiedy Bóg w swoim miłosierdziu zstępuje w nas i pomiędzy nas, aby ogarniać nas swoją zbawczą i uświęcającą obecnością. Toteż pierwszym Budowniczym Kościoła jest zawsze sam Bóg, ludzie własnymi tylko siłami mogą wybudować co najwyżej jakieś pseudokościoły. Słowa Psalmu 127: „Jeżeli domu Pan nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą” – najszczególniej odnoszą się do Kościoła. Niezrozumienie tej prawdy było podstawowym błędem budowniczych wieży Babel.

W świetle powyższej intuicji szczególnie wyraźnie możemy zobaczyć, dlaczego w Kościele katolickim przywiązujemy tak wielką wagę do sakramentu małżeństwa. Mianowicie czym jest chrzest dla poszczególnego człowieka i czym dla całego Kościoła jest zesłanie Ducha Świętego na apostołów, tym dla wspólnoty małżeńskiej jest ich ślub złożony w obliczu Trójcy Przenajświętszej. Każde z tych trzech wydarzeń – i założenie Kościoła w dniu Pięćdziesiątnicy, i chrzest, i sakrament małżeństwa – jest zstąpieniem Boga, który chce się dawać ludziom i pragnie nas uzdolnić do tego, abyśmy również my przemieniali się w wieczysty dar dla Niego.

Spójrzmy na te wypowiedzi Nowego Testamentu, w których mówi się o tym, że świątynią Bożą jest poszczególny człowiek ochrzczony oraz że istnieje coś takiego jak „Kościół domowy”. W wypowiedziach tych odsłania się logika Bożej miłości do ludzi, która ogarnia nas wszystkich, ale nie jako ludzką masę, lecz każdego z nas poszczególnie. Kiedy zaś miłość Boża ogarnia poszczególnie mnie i ciebie, to nie jako wyizolowane jednostki, ale w naszych niepowtarzalnych powiązaniach z naszymi najbliższymi.

Zatem wszyscy razem jesteśmy Kościołem dzięki temu, że przez chrzest Bóg każdego z nas uczynił swoją świątynią: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście” (1 Kor 3,16n). Zauważmy, że najpierw mnie Bóg uczynił swoją świątynią i stąd dopiero płynie moja powinność zachowania w świętości tego sanktuarium, jakim za łaską Bożą się stałem, oraz chronienia go przed zbezczeszczeniem. Kto by sądził, że sam potrafi w swoim sercu wybudować Bogu świątynię, powtórzyłby błąd budowniczych wieży Babel. Jestem świątynią Bożą tylko dlatego, że Bóg raczył spojrzeć na moją nędzę i obdarzył mnie swoją obecnością. Oto dlaczego my chrześcijanie przywiązujemy tak ogromną wagę do sakramentu chrztu.

Analogicznie wyjaśniamy sens sakramentu małżeństwa. Udzielając tego sakramentu mężczyźnie i kobiecie, Chrystus czyni ich wspólnotę miejscem swojej świętej obecności. Oni sami nie byliby w stanie zbudować w swoim domu Kościoła, choćby byli ludźmi największego formatu. Jeden tylko Bóg może udzielać ludziom daru swojej zbawczej obecności, On jeden może przemienić ich małżeństwo i rodzinę w swoją świątynię. Powinność troski o tę domową świątynię jest dopiero konsekwencją Bożego daru.

Termin „Kościół domowy” pojawia się w Nowym Testamencie jakby mimochodem. Mianowicie Apostoł Paweł, napisawszy parę serdecznych słów na temat małżonków Pryska i Akwili, pro-

si, ażeby pozdrowić również „Kościół w ich domu” (Rz 16,5). Apostoł użył tu tego samego wyrazu, którym określał Kościół jako cały lud Boży. Etymologicznie wyraz ten pochodzi od czasownika „wzywać”, „zwoływać”. Tak więc za terminem „Kościół domowy” kryje się głęboka teologia. Nie tylko nas wszystkich, cały święty Kościół katolicki, Bóg zwołuje sobie z czterech stron świata w jedno. Również Wy dwoje jesteście mężem i żoną, bo sam Bóg postanowił Was ze sobą połączyć. To coś jakby wtórnego, że każde z Was podejmowało – może nawet z wielkim trudem i wahaniem – decyzję o małżeństwie; to również coś jakby wtórnego, że to Wy postanowiliście mieć dzieci. Bo przede wszystkim sam Bóg zwołał Was w jedną rodzinę. To On obdarzył Was wzajemnie sobą. To On obdarzył Ciebie tą oto żoną lub tym oto mężem, to On obdarzył Was tymi oto dziećmi.

Żeby to głębiej zrozumieć, potrzebna byłaby wnikliwa refleksja nad pytaniem, w jaki sposób jedna osoba może być darem Bożym dla drugiej osoby. Tutaj zauważmy tylko, że tym, co najbardziej utrudnia odnalezienie siebie wzajemnie jako daru Bożego, są nasze grzechy.

Jeśli się mówi „a”, trzeba powiedzieć „b”. Ponieważ jestem ochrzczony, wynika stąd powinność troski o swoje sanktuarium wewnętrzne, wynika stąd powinność życia w stanie łaski. Ponieważ przystąpiliśmy do sakramentu małżeństwa i sam Bóg uczynił naszą wspólnotę swoją świątynią, wynika stąd powinność troski o Bożą obecność w naszym małżeństwie i rodzinie. Bo niestety, zbezczeszczenie świątyni Bożej leży w zakresie naszych możliwości. I nie tylko do tej świątyni, którą jest człowiek ochrzczony, ale również do tej, którą jest małżeństwo i rodzina, odnosi się przestroga Pisma: „Jeśli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg” (1 Kor 3,16). Znacznie słuszniej byłoby pamiętać o tej przestrodze, aniżeli filozofować że małżeństwa związane ślubem kościelnym nie są wcale lepsze i tak samo się rozpadają, jak związki tylko cywilne.

Co to znaczy troszczyć się o obecność Bożą w swojej rodzinie? Znam małżonków, którzy zaraz po urodzeniu się pierwszego dziecka postanowili wspólnie klękać do modlitwy wieczornej. Chodziło im o to, ażeby codzienna modlitwa całej rodziny była dla ich dzieci zwyczajem istniejącym od zawsze. Otóż istnieje tysiąc sposobów, za pomocą których można uzewnętrznić ważność w naszym domu tego, co Boże. Jeśli rodzina jest małym Kościołem, to w mieszkaniu naszym nie może zabraknąć krzyża ani obrazu Matki Bożej. W wielu rodzinach istnieje zwyczaj modlitwy przed i po jedzeniu oraz religijnych pozdrowień przy wychodzeniu z domu oraz przy powrocie. „Zostań z Bogiem” czy „Szczęść Boże” ma tyle samo sylab, co „Dzień dobry” i „Do widzenia”, a przecież pozdrowienia te wprowadzają coś świętego w życie rodziny.

Nie tu miejsce, żeby omawiać różnorodność konkretnych zwyczajów religijnych, które mogą pomóc rodzinie w otwieraniu się na obecność Bożą. Na pewno nie sposób przecenić ich znaczenia. Żeby jednak spełniały swój sens, muszą być czymś żywym. Toteż warto szukać coraz to nowych sposobów uzewnętrzniania tego co Boże w naszym życiu rodzinnym, warto podpatrywać najlepsze zwyczaje religijne w innych rodzinach. Pamiętam faceta, któremu się urodziło trzech chłopaków. Podobno chłopców jest o wiele trudniej wychowywać, no i też do pacierza namówić. Ten ojciec wpadł na ciekawy pomysł. Mianowicie, opracował sześć scenariuszy wieczornej modlitwy. Chłopcy rzucali kostką, według którego scenariusza dzisiaj się będą modlić. Chłopaków to bardzo jakoś tak zainteresowało, i to do tego stopnia, że w ogóle sami się dopominali, bo tam też takie jakieś były kolejki, kto kiedy rzuca kostką. Na pewno temu ojcu nie udało się tego osiągnąć, gdyby nie miał dobrego kontaktu ze swoimi synami.

Krótko mówiąc, tutaj trzeba pewnej pomysłowości. Kiedy rodzicom naprawdę zależy na wspólnej modlitwie w rodzinie, to

jakoś różne rzeczy wydają się możliwe do osiągnięcia. Z drugiej jednak strony, trzeba umieć rezygnować z takich zwyczajów, które nie znajdują zrozumienia u naszych dzieci i których podtrzymywanie mogłoby stwarzać niepotrzebne napięcia w rodzinie.

Zarazem powiedzmy sobie wyraźnie, że troska o obyczajowość chrześcijańską w naszej rodzinie byłaby budowaniem domu na piasku, gdyby poszczególni członkowie małego Kościoła, a zwłaszcza rodzice, zaniedbali starań o świątynię własnego serca. Siłą Kościoła – zarówno tego wielkiego, jak tego małego – jest obecność Boża w poszczególnym człowieku.

Święty Augustyn sformułował kiedyś wielkie pytanie, które dotyczy zapewne każdego z nas: Czy może kochać prawdziwie drugiego człowieka ktoś, kto nie umie kochać samego siebie? W naszych rozważaniach pytanie to będzie brzmiało następująco: Czy mogą być skuteczne moje starania o Kościół w naszej rodzinie, skoro ja tak mało troszczę się o świątynię Bożą we własnym wnętrzu? Troska o Kościół w mojej rodzinie musi zaczynać się od tego, że ja sam staram się żyć w łasce uświęcającej.

Jeśli jednak świątynia mego wnętrza jest naprawdę przedmiotem mojej troski, wolno mi ufać, że moja rodzina jest małym Kościołem, nawet jeśli ktoś z jej członków nie wierzy w Chrystusa. „Uświęca się mąż niewierzący dzięki swej żonie, podobnie jak świętość osiągnie niewierząca żona przez wierzącego męża” (1 Kor 7,14). Rzecz, jasna, Apostoł nie propaguje tutaj pogańskiego modelu tolerancji. Zrozumienie i szacunek dla przekonań niewierzącego współmałżonka nie wyklucza przecież żarliwego pragnienia, aby ta najbliższa mi osoba otworzyła się w końcu na wiarę w Chrystusa.

Świątynia – o tym mówiliśmy już w tej książce mówiliśmy – ma być również miejscem świadectwa. Na tę funkcję rodziny chrześcijańskiej zwracał uwagę ostatni sobór: „Rodzina winna dzielić się wspańałowmyślnie swym bogactwem duchowym

z innymi rodzinami. Toteż rodzina chrześcijańska, ponieważ powstaje z małżeństwa, będącego obrazem i uczestnictwem w miłosnym przymierzu Chrystusa i Kościoła, przez miłość małżonków, ofiarną płodność, jedność i wierność, jak i przez miłosną współpracę wszystkich członków ujawniać będzie wszystkim żywą obecność Zbawiciela w świecie oraz prawdziwą naturę Kościoła” (KDK 48).

Św. Jan Paweł II mówił o tym wielokrotnie. Rodzina zbudowana na sakramencie małżeństwa – pisał np. w adhortacji *Familiaris consortio*, 49 – winna być nie tylko wspólnotą przyjmującą zbawienie, ale również wspólnotą przyczyniającą się do zbawienia siebie wzajemnie oraz innych. Przystępując do ślubu, małżonkowie weszli w przymierze z samym Chrystusem, który pragnie zstępować realnie do rodziny swoich przyjaciół, ilekroć słuchają oni w wierze słowa Bożego i żyją zgodnie z wolą Bożą, ilekroć szukają Go w modlitwie i poprzez religijne obyczaje, a zwłaszcza ilekroć uczestniczą w tajemnicy Najświętszej Eucharystii.

W tym miejscu, niestety, czuję się zmuszony napisać przykre słowo pod adresem nas, Polaków. Mamy, niestety, w nawyku lekceważyć religijne pytania, z jakimi zwracają się do nas nasze rodzone dzieci. Dzieci stawiają różne pytania – religijne również. Nieraz stawiają pytania tak trudne, że pewnie i sam papież nie bardzo by umiał odpowiedzieć. Dla rodziców nie powinno to być krępujące ani dziwne, że na niektóre pytania nie od razu potrafią odpowiedzieć stawiane – a w każdym razie odpowiedzieć na poziomie dziecka, w sposób dla niego zrozumiały, tak żeby poznawana wiedza dziecko do Pana Boga przybliżała. Wielu rodziców ucieka od takich pytań. „Dorośniesz, to wtedy zrozumiesz”, albo: „Zapytaj księdza, zapytaj katechetki; to są specjaliści od spraw wiary, mnie o to nie pytaj”.

Zazwyczaj dziecko jest dostatecznie inteligentne, żeby zrozumieć, co znaczą słowa: „Zapytaj księdza”, albo: „Dorośniesz,

to wtedy rozumiesz”. Dziecko świetnie rozumie, że rodzic przekazuje komunikat następującej treści: „Wiesz co, my jesteśmy wierzący, ale wiarą to my się za bardzo nie przyjmujemy”. Taki właśnie komunikat przekazują rodzice, uciekając od religijnych pytań swoich dzieci. I naprawdę musimy to sobie uświadamiać, że pierwsze procesy obojętnienia religijnego zaczynają się w naszych katolickich rodzinach.

No to dobrze, może się w tym miejscu pochwałę, bo ja kiedyś odpowiedziałem przedszkolakom na ich poważny problem religijny. Mianowicie, chrzciliśmy jakieś niemowlętko i, jak zwykle przy okazji tego typu uroczystości, rodzice zaprosili swoich znajomych, a znajomi przyszli z dziećmi. I przyszła po chrzcie do mnie cała grupka przedszkolaków, z czworo albo pięcioro ich było, z problemem ewidentnie środowiskowym, wyraźnie rozmawiały o tym zagadnieniu teologicznym ze sobą, zanim udały się do specjalisty: „Proszę księdza, a dlaczego kotka się nie chrzci?”. I co, będziesz odpowiadał, że co, że kotek do nieba nie pójdzie...? No to dziecku ból zadasz. A poza tym, zaraz usłyszysz: „A skąd ty wiesz, co będzie z kotkiem?!”. Albo powiesz może, że kotek nie ma duszy nieśmiertelnej? To nie jest odpowiedź dla dziecka. Co odpowiedzieć...? Myślę, że od Ducha Świętego to przyszło, mianowicie zastosowałem metodę rabinacką, na pytanie pytaniem. I zwracając się do przewodniczącej całemu temu zgromadzeniu, może pięcioletniej dziewczynki: „A widziałaś kiedyś, żeby kotek się modlił?”. I trzeba było zobaczyć ten błysk absolutnego zrozumienia! Te dzieci wszystko już zrozumiały!

Trzeba prosić Ducha Świętego o światło i pomoc w takich rozmowach, bo nie jest łatwo przekazać fundamentalne prawdy teologiczne językiem pięcioletka. Apostoł Paweł był człowiekiem świetnie wykształconym, jak na tamte czasy – mimo to czuł i nie bał się tego wyznać publicznie, że cała jego wiedza i wszystkie zdolności intelektualne nie są zdolne ogarnąć i pojąć Bożych

prawd, które kazano mu głosić. Szczerze pisał, że jego działalność nie byłaby możliwa bez pomocy Ducha Świętego:

*Tak też i ja przyszedłszy do was, bracia, nie przybyłem, aby błyszczać słowem i mądrością głosić wam świadectwo Boże. Po-
stanowiłem bowiem, będąc wśród was, nie znać niczego wię-
cej, jak tylko Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I staną-
łem przed wami w słabości i w bojaźni, i z wielkim drżeniem.
A mowa moja i moje głoszenie nauki nie miały nic z uwodzą-
cych przekonywaniem słów mądrości, lecz były ukazywaniem
ducha i mocy, aby wiara wasza opierała się nie na mądrości
ludzkiej, lecz na mocy Bożej. A jednak głosimy mądrość między
doskonałymi, ale nie mądrość tego świata ani władców tego
świata, zresztą przemijających. Lecz głosimy tajemnicę mądrości
Bożej, mądrość ukrytą, tę, którą Bóg przed wiekami przema-
rzył ku chwale naszej, tę, której nie pojął żaden z władców
tego świata; gdyby ją bowiem pojęli, nie ukrzyżowaliby Pana
chwały; lecz właśnie głosimy, jak zostało napisane, to, czego ani
oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie
zdolało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy
Go miłują.*

*Nam zaś objawił to Bóg przez Ducha. Duch przenika wszystko,
nawet głębokości Boga samego. Kto zaś z ludzi zna to, co ludz-
kie, jeżeli nie duch, który jest w człowieku? Podobnie i tego, co
Boskie, nie zna nikt, tylko Duch Boży. Otóż myśmy nie otrzy-
mali ducha świata, lecz Ducha, który jest z Boga, dla pozna-
nia darów Bożych. A głosimy to nie uczonymi słowami ludzkiej
mądrości, lecz pouczeni przez Ducha, przedkładając duchowe
sprawy tym, którzy są z Ducha. Człowiek zmysłowy bowiem
nie pojmuje tego, co jest z Bożego Ducha. Głupstwem mu się
to wydaje i nie może tego poznać, bo tylko duchem można to
rozsądzić. Człowiek zaś duchowy rozsądza wszystko, lecz sam*

przez nikogo nie jest sądzony. Któż więc poznał zamysł Pana tak, by Go mógł pouczać? My właśnie znamy zamysł Chrystusowy (1 Kor 2,1-16).

Jeśli rodzina jest małym Kościołem, to trzeba się troszczyć o to, żeby tak było naprawdę. Żeby w tym miniaturowym Kościele było głoszone słowo Boże, żeby nie zabrakło modlitwy. Mogę odwołać się do moich własnych wspomnień z dzieciństwa. Mój świętej pamięci tata ogromnie lubił w rozmowie z dzieckiem nawiązywać do niedzielnej Ewangelii. I to nie było tak, że mnie przepytывał, tylko tak jakoś jakby przy okazji, w bardzo naturalny sposób, pytał, czy pamiętam ten albo inny szczegół z ostatniej Ewangelii. Czasem pamiętałem, czasem nie pamiętałem – a tata wtedy jakimś swoim spostrzeżeniem się ze mną dzielił, dzielił się Słowem. I to nie było ewidentnie tak, żeby chciał dzieciaka z wyższością pouczać, tylko na zasadzie równego z równym, ja też coś mogłem zawsze powiedzieć albo o coś dopytać – zupełnie, jakby tata chciał, żeby dzieciak był świadkiem tego, w czym go ta święta Ewangelia ubogaciła.

To bardzo ważne, żeby w rodzinie dzielić się Słowem Bożym i głosić je sobie wzajemnie. Ale myślę, że jest jedna jeszcze ważniejsza sprawa: pytanie jak to robić i czego absolutnie nie wolno robić, żeby nie zrazić dziecka do praktykowania wiary – zwłaszcza zaś w odniesieniu do tak zwanych zbuntowanych nastolatków, żeby ich nie wypłoszyć z Kościoła. To bardzo trudna rzecz. Myślę, że raczej na pewno nie powinno się przymuszać. Rodzice i wychowawcy bardzo często przytaczają taki koronny argument: „Będziesz miał osiemnaście lat, to będziesz sobie sam decydował – a teraz jesteś pod moją władzą, więc masz iść do kościoła i koniec!”. To jest argument, który, być może, jeden raz wolno użyć – ale generalnie bym do sięgania po ten argument zniechęcał. Bo zwykle kończy się to tak, że młodzieniec w końcu osiąga

te upragnione osiemnaście lat i robi się problem. Ja bym raczej próbował, gdyby się udało, przekazywać dzieciom w takiej sytuacji komunikat: „Twoje niechodzenie do kościoła sprawia mi wielki ból. Ja rozumiem, że ty masz swoje sumienie i swoje poglądy, ale po prostu mnie to strasznie boli, że ty nie chodzisz do kościoła, ponieważ to jest dla mnie bardzo ważne”. Oczywiście, że lepiej ten komunikat przekazywać bez słów, przykładem życia, ale jeden czy drugi raz także słowami to powiedzieć wolno.

Równie trudną i budzącą wiele emocji jest kwesta znaczenia czystości przedmałżeńskiej. W rozmowach z młodymi lubię mówić mniej więcej tak: „Ufajmy, że wyjdiesz za mąż, ufajmy, że się ożenisz – i ufajmy, że twoje małżeństwo będzie piękne. Otóż, warto pomyśleć o tym, żeby twoje dzieci miały czystą mamusię i czystego tatusia, żeby wasze dzieci urodziły się z czystych rodziców. Krótko mówiąc, praca nad swoją seksualnością niech będzie taką duchową pracą na rzecz waszego przyszłego małżeństwa, na rzecz twoich dzieci, których jeszcze nie ma, ale ufajmy, że Pan Bóg zechce cię nimi obdarzyć”. Oczywiście każdy musi dobierać takich słów, które pasują do jego duchowej urody. Kiedy używa się takich argumentów, młodzi ludzie słuchają zazwyczaj uważnie i raczej nie pyskują.

Przejdźmy do drugiego wymiaru świątynności: w świątyni powinny być składane miłe Bogu ofiary. Jak się to ma do rodziny jako małego Kościoła, no to chyba wszyscy wiemy. Małżonkowie z własnego doświadczenia znają trudy życia małżeńskiego, wiedzą, że małżeństwo to nie jest mało zobowiązująca przygoda ani konsumpcyjny raj, ale jest to wielkie zadanie, realizowanie jakiegoś wielkiego sensu. Krótko mówiąc, małżeństwo domaga się podjęcia naprawdę dużego trudu życiowego. Każdy dzień daje małżonkom liczne okazje do składania ofiar na rzecz swojego małżeństwa i rodziny. Już wspominałem podczas tych rekolekcji, że cała odkupiona ludzkość składa Ojcu przedwiecznemu jedną

jedyną ofiarę – tę, którą w Wielki Piątek złożył z samego siebie Pan nasz, Jezus Chrystus. Apostoł Paweł wyjaśnia, jak złożona przez Syna Bożego ofiara ma moc uświęcić wszystkie ofiary składane Bogu przez ludzi:

Ale Chrystus, zjawiwszy się jako arcykapłan dóbr przyszłych, przez wyższy i doskonalszy, i nie ręką – to jest nie na tym świecie – uczyniony przybytek, ani nie przez krew kozłów i cielców, lecz przez własną krew wszedł raz na zawsze do Miejsca Świętego, zdobywszy wieczne odkupienie. Jeśli bowiem krew kozłów i cielców oraz popiół z krowy, którymi skrapia się zanieczyszczonych, sprawiają oczyszczenie ciała, to o ile bardziej krew Chrystusa, który przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę, oczyści wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu. [...] Chrystus bowiem wszedł nie do świątyni, zbudowanej rękami ludzkimi, będącej odbiciem prawdziwej [świątyni], ale do samego nieba, aby teraz wstawiać się za nami przed obliczem Boga, nie po to, aby się często miał ofiarować jak arcykapłan, który co roku wchodzi do świątyni z krwią cudzą. Inaczej musiałby cierpieć wiele razy od stworzenia świata. A tymczasem raz jeden ukazał się teraz na końcu wieków na zglądzenie grzechów przez ofiarę z samego siebie. A jak postanowione ludziom raz umrzeć, a potem sąd, tak Chrystus raz jeden był ofiarowany dla zglądzenia grzechów wielu, drugi raz ukaże się nie w związku z grzechem, lecz dla zbawienia tych, którzy Go oczekują (Hbr 9,11-14.24-28).

Stąd ważność Eucharystii w życiu małżeńskim i rodzinnym. Jest ideałem, ażeby dla małżonków chrześcijańskich niedziela bez mszy świętej była czymś nie do wyobrażenia. Również Komunię Świętą powinni przyjmować możliwie jak najczęściej, najlepiej żyjąc trwale w łasce uświęcającej. Komunia Święta jest

najszczególniej potrzebna wtedy, kiedy stajemy przed jakimś trudnym, może nawet przekraczającym nas wyzwaniem.

Opowiadała mi pewna kobieta o sytuacji tak trudnej, że jedynym z niej wyjściem wydawała jej się aborcja. Miała już pięcioro małych dzieci. „Dwoje najmłodszych, bliźniaki, jeszcze nie miały roku, naprawdę nie dają już rady. I patrzę – a tu znowu ciąży. W oczach mi się zaćmiło, Wiem, że tego dziecka na pewno nie urodzę; to ponad ludzkie siły. Postanowiłam pozbyć się tego dziecka takim babskim sposobem i zaczęłam podgrzewać wodę. Ale w pewnym momencie ogarnęła mnie modlitwa: Panie Boże, przecież Ty mi dopomożesz! – i wtedy jak wzięłam, jak chlusnęłam tę wodę do zlewu...Ogarnęła mnie spokojna pewność, że na pewno dam sobie rady”. Opowiadała mi to z poczuciem zwycięstwa na weselu tego szóstego. „Proszę księdza, i takiego pięknego chłopaka bym zmarnowała...!”.

W obliczu tak wspaniałego świadectwa przypomniały mi się niezapomniane, choć trudne do zrozumienia, słowa Pana Jezusa: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje”. Nie wiem, czy tamta kobieta pamiętała o tych słowach, ale na pewno w ich duchu wtedy postąpiła – dobrze zdając sobie sprawę z tego, że ten wybór naznaczy dodatkowym trudem całe lata jej życia. Dlatego miała prawo być dumną ze swojego zwycięstwa. Tutaj przypominają mi się słowa, jakie św. Jan Paweł II wygłosił w Nowym Sączu, podczas kanonizacji św. Kingi: „Małżeństwo jest drogą świętości, nawet wtedy, gdy staje się drogą krzyżową”. Trudno wątpić, że droga krzyżowa tamtej kobiety była naprawdę drogą świętości.

Mały Kościół, którym jest rodzina, jest miejscem, w którym składane są Bogu ofiary bardzo różnorodne. Ofiarna decyzja wspomnianej kobiety, chociaż całkiem realnie objęła całe jej życie, była tylko jedną z bardzo wielu postaci ofiar, jakie składa-

my Bogu w życiu małżeńskim i rodzinnym. Każde z małżonków naznaczone jest zazwyczaj większymi lub mniejszymi wadami i ułomnościami, z którymi nieraz po prostu trzeba się pogodzić, ale nieraz też nie wolno się pogodzić – a jedno i drugie trzeba znosić po Bożemu. Niemałym wyzwaniem dla wszystkich członków rodziny są choroby, często zwyczajna bieda, różne utrapienia, a niekiedy nawet wielkie nieszczęścia. Jeśli do tego dodać różne kłopoty z małymi albo dorastającymi, a nawet całkiem już dorosłymi dziećmi; jeśli dodać nałogi dopadające nawet tych członków rodziny, którzy powinni być jej filarami... Zresztą i tak nie wyliczymy wszystkich tych trudnych sytuacji, którym w rodzinie trzeba sprostać, i to sprostać po Bożemu.

W obliczu tych wszystkich prób i zagrożeń w to jedno warto całym sercem wierzyć, że Ten, który powiedział, że „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza”, powiedział również: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11,28). Pamiętając o tej obietnicy, Apostoł Paweł napisał pamiętne słowa, które tysiące ludzi uratowały od rozpacz: „Wierny jest Bóg i nie dozwoli was kusić ponad to, co potraficie znieść, lecz zsyłając próbę, równocześnie wskaże sposób jej pokonania, abyście mogli przetrwać” (1 Kor 10,13).

Rodzina jako mały Kościół – przejdźmy do trzeciego wymiaru jej świętynności – jest również miejscem dawania świadectwa. Rzecz jasna, w pierwszej kolejności małżonkowie powinni sobie wzajemnie dawać świadectwo wiary. Jeżeli starają się zachować wierność Bożym przykazaniom i żyć zgodnie z zasadami wiary, to są dla siebie wzajemnie świadkami wiary, nawet jeżeli o tym nie myślą. Dotyczy to również takich małżeństw, kiedy jedna ze stron jest dość obojętna religijnie. Jest przecież sporo takich par małżeńskich, i tak było już na samym początku Kościoła. Apostoł Paweł pisał przecież, że uświęca się niewierzący małżonek dzięki wierzącemu współmałżonkowi (1 Kor 7,12-16).

W rodzinie i przede wszystkim w rodzinie dokonuje się wielkie dzieło przekazywania wiary następnemu pokoleniu. Zarazem dzieci potrafią istotnie wspomagać swoich rodziców w ich drodze wiary. Ich narodziny, chrzest, pierwsza komunia to dla rodziców szczególnie częste okazje do tego, żeby otworzyć się na poruszenia łaski. A co w tym zjawisku jest szczególnie sympatyczne, to fakt, że dzieciaki w ogóle nie są świadome, że przyczyniają się do pogłębienia wiary u swoich rodziców, a nieraz nawet po prostu do ich nawrócenia. Wiele osób właśnie swojemu dziecku zawdzięcza swoje przybliżenie się do Pana Boga.

Wielu rodziców bardzo cierpi z powodu odejścia swojego dziecka od Boga i od Kościoła, albo kiedy ich dziecko pogubi się w rozpuszcie czy innych nałogach. Dzisiaj widzą oni, że sami niemało się do tego przyczynili. Otóż nie pora wówczas, żeby zagryzać się z powodu niewątpliwych lub domniemyanych błędów, jakie popełniliśmy w trakcie wychowywania naszego dziecka. Niezależnie od tego, co było wczoraj, należy wsłuchiwać się w te wezwania apostołskie, z jakimi Bóg przychodzi do naszego Kościoła domowego dzisiaj. O zadaniach apostołskich wobec własnych dzieci, które przechodzą okres buntu religijnego lub nawet odeszły od wiary, bardzo trafnie pisze Jan Paweł II: „Posługa ewangelizacyjna i katechetyczna rodziców powinna towarzyszyć dzieciom także w okresie ich dojrzewania i młodości, kiedy – jak to często się zdarza – kontestują lub wręcz odrzucają wiarę chrześcijańską, otrzymaną w pierwszych latach życia. Podobnie jak w Kościele dzieło ewangelizacji zawsze związane jest z cierpieniem apostoła, tak w rodzinie chrześcijańskiej rodzice powinni odważnie i z wielką pogodą ducha przyjmować trudności, na jakie niejednokrotnie napotyka posługiwanie ewangelizacyjne wobec własnych dzieci” (*Familiaris consortio*, nr 53).

Wspomnijmy jeszcze o świadectwie, jakie dają Ewangelii ludzie, których małżeństwo się połamało. Zazwyczaj są to mężo-

wie lub żony porzuceni przez współmałżonka, niekiedy jednak właśnie z ich winy małżeństwo się rozpadło. Szczególnie trudna jest wówczas sytuacja małżonka porzuconego, który przecież mimo wszystko winien trwać w wierności swojemu niewiernemu współmałżonkowi. Bliscy, a nawet współwyznawcy niekiedy mu w tym przeszkadzają, a przecież powinni okazywać raczej aprobatę i pomoc.

Tutaj warto przypomnieć ważne pouczenie na ten temat, jakie dał Jan Paweł II we wspomnianej adhortacji *Familiaris consortio*, 83: „Samotność i inne trudności są często udziałem małżonka odseparowanego, zwłaszcza gdy nie ponosi on winy. W takim przypadku wspólnota kościelna musi go w szczególny sposób wspomagać, okazywać mu szacunek, solidarność, zrozumienie i konkretną pomoc, tak aby mógł dochować wierności także w tej trudnej sytuacji. Wspólnota musi pomóc mu w praktykowaniu przebaczenia, wymaganego przez miłość chrześcijańską, oraz w utrzymaniu gotowości do ewentualnego podjęcia na nowo poprzedniego życia małżeńskiego. Analogiczny jest przypadek małżonka rozwiedzionego, który – zdając sobie dobrze sprawę z nierozzerwalności ważnego węzła małżeńskiego – nie zawiera nowego związku, lecz poświęca się jedynie spełnianiu swoich obowiązków rodzinnych i tych, które wynikają z odpowiedzialnego życia chrześcijańskiego. W takim przypadku przykład jego wierności i chrześcijańskiej konsekwencji nabiera szczególnej wartości świadectwa wobec świata i Kościoła, który tym bardziej winien mu okazywać stałą miłość i pomoc, nie czyniąc żadnych trudności w dopuszczeniu do sakramentów”.

Szczególnie dzieciom rodziców rozwiedzionych należy się świadectwo, że małżeństwo jest – powinno być – święte i nierozzerwalne; że rozwody nie są dowodem na to, jakoby małżeństwo było instytucją czysto ludzką. Zarazem nie trzeba dziwić się temu, że tak często różnych ludzi denerwuje dochowywanie

wierności przez małżonka porzuconego. Czasem rodzony brat lub rodzona siostra potrafi na Ciebie nakrzyczeć, że to doktrynerstwo trzymać się w takiej sytuacji nauki Ewangelii. Prawda jest taka, że świadectwo dawane Chrystusowi nieraz ludzi denerwuje. Właśnie porzuceni małżonkowie są szczególnie powołani do powiedzenia nauce Pana Jezusa: „Tak, Panie Jezu, Ty masz rację: Także wtedy, kiedy nam się małżeństwo rozpadło, Ty masz rację, że co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”. Czytamy przecież w Ewangelii:

Przystąpili do Niego faryzeusze i chcąc Go wystawić na próbę, pytali Go, czy wolno mężowi oddać żonę. Odpowiadając zapytał ich: «Co wam nakazał Mojżesz?». Oni rzekli: «Mojżesz pozwolił napisać list rozwodowy i oddać». Wówczas Jezus rzekł do nich: «Przez wzgląd na zatwardziałość serc waszych napisał wam to przykazanie. Lecz na początku stworzenia Bóg stworzył ich jako mężczyznę i kobietę: dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela!». W domu uczniowie raz jeszcze pytali Go o to. Powiedział im: «Kto oddała żonę swoją, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo względem niej. I jeśli żona opuści swego męża, a wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo» (Mk 10,2-12).

6. TEOLOGIA PRZYSIĘGI MAŁŻEŃSKIEJ

Chyba każdy dorastający i dorosły człowiek zna treść przysięgi małżeńskiej składanej podczas ceremonii zawarcia sakramentu małżeństwa. Wielu ją wymawiało, inni słyszeli nie jeden raz, będąc zaproszonym na taką uroczystość. Czy jednak wszyscy rozumiemy, co te słowa znaczą? Zgłębienie podstaw teologii przysięgi małżeńskiej jest konieczne nie tylko dla tych, którzy się przygotowują do małżeństwa – żeby byli w stanie zrozumieć, do czego się w ogóle przygotowują – ale też dla małżonków z obojętne jak długim stażem. Trzeba to zgłębić po to, aby następnie móc uczciwie zastanowić się nad tym, jaki sens ma tak naprawdę małżeństwo sakramentalne. Jaki sens ma dzisiaj, teraz, dla ciebie i dla twojego sakramentalnego współmałżonka wasze małżeństwo, w tej konkretnej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujecie – a sytuacje małżeńskie mogą być naprawdę różnorodne. I co, ewentualnie, można w swoich postawach naprawić, gdzie wprowadzić korektę, co naprowadzić na właściwy kurs.

Przysięga małżeńska brzmi tak:

Ja (imię Pana Młodego) biorę Ciebie (imię Panny Młodej) za żonę i ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci.

Już przy pierwszym spojrzeniu na treść tej przysięgi widzimy, że małżeństwo sakramentalne jest czymś więcej niż kontraktem. Owszem, ma w sobie także wymiar kontraktu – ale sakrament małżeństwa to jest coś więcej niż kontrakt. Jest sakramentem, który trzeba zobaczyć przede wszystkim w wymiarze przymierza. Podczas ślubu dwoje ludzi zawiera je na zawsze i, że tak to ujmę kolokwialnie, na całego. Małżeństwo sakramentalne to przymierze, w którym ja cały, ja cała oddaję się tobie na zawsze i na wyłączność. W Katechizmie Kościoła Katolickiego znajduje się na ten temat zapis niepozostawiający wątpliwości:

„Wspólnota życia i miłości małżeńskiej, ustanowiona przez Stwórcę i unormowana Jego prawami, zawiązuje się przez przymierze małżeńskie, czyli przez nieodwołalną osobistą zgodę”. Małżonkowie oddają się sobie wzajemnie w sposób ostateczny i całkowity. Już nie są dwoje, ale stanowią odtąd jedno ciało. Przymierze dobrowolnie zawarte przez małżonków nakłada na nich obowiązek podtrzymywania jego jedności i nierozzerwalności (KKK 2364).

Jak widzimy, do istoty związku małżeńskiego należy monogamia:

Zrozumiały jest dramat tego, kto pragnąc wrócić do życia zgodnego z Ewangelią, zmuszony jest oddać jedną lub wiele kobiet, z którymi dzielił przez lata życie małżeńskie. Jednak poligamia nie jest zgodna z prawem moralnym: „Zaprzecza ona radykalnie komunii małżeńskiej, przekreśla bowiem wprost zamysł Boży, który został objawiony nam na początku, gdyż jest przeciwna równej godności osobowej mężczyzny i kobiety, oddających się sobie w miłości całkowitej, a przez to samo jedynej i wyłącznej”. Chrześcijanin, uprzednio żyjący w poligamii, jest odpowiedzialny ze sprawiedliwości za wypełnienie z całą powagą

zobowiązań podjętych wobec swoich dawnych żon i swoich dzieci (KKK 2387).

Spójrzmy jeszcze do *Kodeksu Prawa Kanonicznego*:

§ 1. Małżeńskie przymierze, przez które mężczyzna i kobieta tworzą ze sobą wspólnotę całego życia, skierowaną ze swej natury do dobra małżonków oraz do zrodzenia i wychowania potomstwa, zostało między ochrzczonymi podniesione przez Chrystusa Pana do godności sakramentu.

§ 2. Z tej racji między ochrzczonymi nie może istnieć ważna umowa małżeńska, która tym samym nie byłaby sakramentem (Kan. 1055).

Mając to właśnie na względzie, celebrans, zanim przysięga małżeńska zostanie złożona, stawia nowożeńcom trzy pytania. Pierwsze pytanie to pytanie o miłość: „Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński?”. Drugie pytanie to pytanie o wierność: „Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli aż do końca życia?”. Trzecie pytanie to pytanie o uczciwość małżeńską: „Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy?”. Tak na marginesie, czasem wydaje mi się, że gdybym w tramwaju zapytał, co to jest uczciwość małżeńska, to 95% odpowiedzi będzie nieprawidłowych...

Zacznijmy jednak od początku. Co to znaczy: „miłość małżeńska”? Miłość małżeńska jest to jedyna tego rodzaju miłość dostępna człowiekowi, że wybieram drugiego człowieka jako absolutnie pierwszego człowieka mojego życia. I tutaj, oczywiście, wielokrotnie różne błędy popełniamy. Czasem małżonkowie mogą być tak związani z rodzicami, że dalej rodzice są dla nich najważniejsi. To nie chodzi o to, że rodzice mają stać się mniej ważni, niech po ślubie się stają jeszcze ważniejsi niż byli dotychczas, nie ma przeciwwskazań – ale skutek zawarcia

małżeństwa najważniejszym człowiekiem życia stał się współmałżonek. I to odnosi się też do każdej innej relacji. Najważniejszym człowiekiem twojego życia od dnia twojego ślubu jest twój mąż albo twoja żona, nie ojciec, nie matka, nie dziecko, nie kolega z pracy i nie sąsiadka. Wymieniłem tu także dziecko – i być może jest to zaskakujące. To jest częsty błąd popełniany w małżeństwach, że kiedy narodzi się dziecko, ono staje się pierwszym człowiekiem życia matki, a czasem obojga rodziców. Czasem oboje tak traktują swoje dziecko, czym, oczywiście, je krzywdzą. Bo ewidentnie wychowują je na egocentryka, ale także obciążają zbyt wielką odpowiedzialnością, zbyt wielkim ciężarem – żaden syn, żadna córka nie może dać ci takiej relacji, jaką możesz mieć jedynie ze swoim mężem, swoją żoną.

Wszystkie te sytuacje, w których ktokolwiek inny staje się ważniejszy niż współmałżonek osłabiają znaczenie miłości małżeńskiej. I tutaj właśnie jest pole do czasem może bardzo trudnego zadania, czasem może bardzo ciężkiej pracy duchowej – w sytuacji, gdy jedno z małżonków złamało miłość małżeńską i w jego życiu pojawił się ktoś inny, ważniejszy. Co to znaczy, czy to naprawdę mnie jeszcze obowiązuje, że mąż, który mnie porzucił, żona, która ode mnie odeszła, ma być nadal najważniejszym człowiekiem mojego życia? Tu dotykamy tak wielkich zranień, że bez żywej wiary w Boga dochowanie przysięgi małżeńskiej staje się chyba niemożliwa. Myślę, że jeśli o tym mówić do niewierzących, to w ogóle od razu zarzucają, że głupstwa Kościół wygaduje, do masochizmu ludzi namawia. Bo, prawda, nie dość, że cię skrzywdził ktoś, komu zaufałeś, to jeszcze ma on być najważniejszym człowiekiem twojego życia! Tutaj myślę, że nie ma innej rady, tylko trzeba podpatrywać Pana Boga. Tego Boga, któremu często bardzo dużo bólu zadajemy, bardzo Go rozczarowujemy naszym postępowaniem – a Jemu nadal ogromnie zależy na naszym dobru. Pozostaje wierny, bo, jak mówi Pismo:

*Jeśli my odmawiamy wierności,
On wiary dochowuje, bo nie może się zaprzeć siebie samego
(2 Tm 2,13).*

Przy tym trzeba naprawdę dobrze zrozumieć, co Kościół ma na myśli, mówiąc, że współmałżonek, który mnie skrzywdził, nadal jest najważniejszym człowiekiem mojego życia. To oczywiście nie znaczy, że ja koniecznie muszę tej osobie mówić, że ją kocham. To nie musi dziać się na poziomie uczuciowym, emocjonalnym. Bo miłość w rozumieniu Kościoła to jest przede wszystkim myślenie kategoriami dobra tego, kogo kocham. „Ślubuję ci miłość”, wybieram ciebie jako pierwszego człowieka mojego życia, to znaczy: „Przysięgam przed Bogiem, że twoje dobro będzie przez całe moje życie przedmiotem mojej bardzo wysokiej troski – to przysięgam, ślubując ci miłość”. Kochać kogoś to chcieć dobra dla tej osoby. I to, między innymi, znaczy, że nadal ma to być najważniejsza osoba w naszym życiu. Bo to chodzi nie tylko o uratowanie waszego małżeństwa, to wasza nadzieja wbrew nadziei, że małżeństwo da się jeszcze uratować. To chodzi również o dobro tego mojego zbłąkanego współmałżonka, żony czy męża, który chodzi po manowcach i zaprzepaszcza swą nadzieję na życie wieczne w ramionach kochającego Boga.

Niezwykle ważny jest tu problem właściwego ustawienia miłości do dziecka czy do dzieci. Mianowicie, Pan Bóg tak ustanowił, jest wolą Bożą – i to jest niepojęte – żeby nowi ludzie, czyli istoty, których Bóg chce kochać przez całą wieczność, poczynali się w miłości swoich rodziców. I w tej miłości one mają się urodzić, w tej miłości mają się wychowywać, zanurzone w miłości swoich rodziców. Tak chce Bóg. I to jest najgłębszym marzeniem, najbardziej podstawową potrzebą każdego, ale to absolutnie każdego dziecka: miłość wzajemna rodziców. To dlatego zapewne zdarza się, że kiedy zaczyna się takie wzajemne oddalanie

się małżonków od siebie, to ich dzieci często – tak, jak potrafią, naiwnie – próbują ich pogodzić, połączyć. I tak strasznie się cieszą, jeżeli są jakieś tam, choćby drobne, oznaki, że rodziców nie utracą, że pojednanie nastąpi. Po prostu dziecko ma taki wrodzony instynkt od Pana Boga, że jemu wzajemna miłość obojga rodziców się należy. To nie chodzi tylko o to, żeby tata kochał i mama kochała, tylko żeby rodzice kochali się oboje nawzajem”. W Katechizmie Kościoła Katolickiego czytamy:

Dziecko nie jest czymś należnym, ale jest darem. „Największym darem małżeństwa” jest osoba ludzka. Dziecko nie może być uważane za przedmiot własności, za coś, do czego prowadziłoby uznanie rzekomego „prawa do dziecka”. W tej dziedzinie jedynie dziecko posiada prawdziwe prawa: prawo, by „być owocem właściwego aktu miłości małżeńskiej rodziców i jako osoba od chwili swego poczęcia mająca również prawo do szacunku” (KKK 2378).

To bardzo ważne, żeby sobie uświadomić, że nauka Kościoła jest niesłychanie jasna w tym względzie – podobnie, zresztą, jak i we wszystkich innych kwestiach. I to właśnie dlatego, że przez współzycie mężczyzny i kobiety może się począć dziecko, nowy człowiek, istota, którą Pan Bóg powołuje do życia wiecznego, każde pozamałżeńskie współzycie jest grzechem ciężkim:

Wolny związek ma miejsce wówczas, gdy mężczyzna i kobieta odmawiają nadania formy prawnej i publicznej współzyciu zakładającemu intymność płciową.

Określenie to jest zwodnicze: Co może oznaczać związek, w którym osoby nie podejmują zobowiązań wobec siebie i dają w ten sposób wyraz brakowi zaufania w odniesieniu do drugiej osoby, do samej siebie lub do przyszłości?

Określenie „wolny związek” odnosi się do różnych sytuacji, takich jak: konkubinat, odmowa małżeństwa jako takiego, niezdolność do podjęcia trwałych i ostatecznych zobowiązań. Wszystkie te sytuacje znieważają godność małżeństwa; niszczą samo pojęcie rodziny; osłabiają znaczenie wierności. Są one sprzeczne z prawem moralnym. Akt płciowy powinien mieć miejsce wyłącznie w małżeństwie; poza nim stanowi zawsze grzech ciężki i wyklucza z Komunii sakramentalnej (KKK 2390).

Dlatego jest to pytanie ogromnie ważne, pytanie, które można rozpatrywać chyba jedynie w wierze: „Co to dla mnie, konkretnie, w mojej konkretnej sytuacji wobec mojego konkretnego współmałżonka, ma znaczyć, że on jest najważniejszym człowiekiem mojego życia?”. Taki drań! No cóż, Pan Bóg draniów też kocha, prawda? To też są Jego dzieci. I już naprawdę nie próbujemy zarzucać Panu Bogu, że źle robi, kochając również draniów. Zresztą spójrzmy do Ewangelii:

Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski (Mt 5,43-48).

Co jeszcze znaczą te słowa: „ślubuję ci miłość”? Odpowiem na przykładzie kilku sytuacji, które mi się zdarzyły jako

duszpasterzowi. Kiedyś dowiaduję się o dwojgu 24-latków, którzy zaledwie rok wcześniej związali się sakramentem, że się rozwodzą. Znałem ich jako ludzi odpowiedzialnych, dojrzałych i głębokich. To był dla mnie szok, nie rozumiałem, co się dzieje. Udało mi się zaprosić ich do rozmównicy klasztornej i zacząć wspólną rozmowę. Oni zgodnie wyjaśniają, że oni się rozwodzą, ponieważ, cytuję: „już się nie kochają”. Osłupiałem – i w tym osłupieniu zachowałem się tak, jak w takiej sytuacji zachować się z całą pewnością nie powinno. Mianowicie zacząłem się śmiać. Niewykluczone, że Duch Święty jakąś robotę wtedy z nami wykonywał, wiem tylko, że tego naśladować się nie powinno – no ale cóż, fakt faktem, że ja wtedy zacząłem się śmiać. Kilkanaście miesięcy po ślubie, oni oboje mają po 24 lata, i mówią, że się rozchodzą, bo oni już się nie kochają! Czysty surrealizm! – tak to wtedy odebrałem i dlatego ogarnął mnie ten śmiech.

Opanowałem się jakoś i tłumaczę: „Słuchajcie, kochani, toż to przecież jest moment wielkiej szansy dla waszego małżeństwa! To, że wy wzajemnie się lubiliście i czuliście się wzajemnie sobie bliscy, to no bardzo dobrze! To było na początku, na zachętę – ale to była w gruncie rzeczy miłość jeszcze egocentryczna. Polegała ona na tym, że jedno kochało drugie, bo było mu z nim dobrze. A teraz, kiedy ta niedojrzała miłość jakby się wypaliła, jakby znikła – nadchodzi dla Was szansa budowania miłości mądrzejszej, dojrzałszej, kiedy każde z Was myśli o dobru tego drugiego. Aż w końcu dojdziecie wzajemnie do tego, że jedno będzie kochało drugie tylko dlatego, że jest jego współmałżonkiem! Ta miłość nie będzie potrzebowała argumentów, będzie polegała na tym, że Kocham Ciebie i już, niezależnie od tego, jak się nam układa! Sakrament małżeństwa jest taką przestrzenią, w której moje subiektywne odczucia nie mogą być miarą podejmowanych decyzji moralnych, i to w gruncie rzeczy ogarniających całe nasze życie”.

Była to rozmowa bardzo udana. Młodzi małżonkowie wkrótce w ogóle zapomnieli o tym, że chcieli się rozwodzić. Rychło urodziła im się córeczka, którą oboje uznali za swoje szczęście.

Druga sytuacja. Znajoma do mnie telefonuje, czy bym do nich nie przyszedł, bo małżeństwo im się rozlatuje i może ratunkiem dla nich byłoby wypowiedzenie wszystkich wzajemnych żądań, jakie się im uzbierały. Chcieliby to zrobić w mojej obecności, bo inaczej nie mieliby sił doprowadzić takiej rozmowy do końca. Zrozumiałem, że moja obecność dlatego jest im potrzebna, bo inaczej mogliby się pobić. Rozmowę tę za chwilę opiszę, ale chociaż wydaje mi się, że bardzo nam się udała, osobiście odradzałbym ryzykowanie podobnego eksperymentu. No, chyba że zaprosiłoby się do takiej rozmowy jakichś psychologów – ale to już tylko wierzących, bo niewierzący zbyt łatwo doradzają rozwód.

Wspomniana rozmowa miała przebieg następujący. Zaczęła się od tego, że małżonkowie przedstawili sobie wzajemnie swoje żale, pretensje i rozczarowania; w ogóle nie podejmowali wątku, czego wzajemnie od siebie oczekują. Trwało to prawie trzy godziny. Miałem wrażenie, że oblewają się pomyjami. Starali się nie podnosić głosu, w ich słowach nie było agresji, ani krzyków, ale przedstawione przez nich fakty wydawały mi się straszne. Pomyje się łały dosłownie przez trzy godziny. Czułem się cały nimi zalany. Ogarnęła mnie rozpaczliwa pewność, że nic tu po mnie, bo to małżeństwo jest już nie do uratowania.

Wreszcie nadszedł moment, kiedy ja powinienem się w końcu odezwać, w głowie (a może nawet i w sercu) miałem kompletną pustkę. Po prostu czułem, że to małżeństwo już się rozpadło. Dosłownie w ostatnim momencie z moich ust wyszło następujące słowo, słowo dla mnie samego zupełnie niespodziewane. Powiedziałem im tak: „Słuchajcie, jeżeli mnie zaprosiliście, to dlatego, że jeszcze w was obojgu jest iskierka nadziei na to, że małżeństwo da się uratować. Ja proponuję w iskierkę nie dmuchać, bo

jak się w iskiarkę dmucha, to ona lubi zgasnąć. Proponuję naszą rozmowę zacząć – dobre, po trzech godzinach, ale taka była prawda, że dopiero wówczas zaczęła się rozmowa! – od przyjęcia następującego dogmatu: to bardzo dobrze, to świetnie, że ona jest moją żoną, że on jest moim mężem. Od tego w ogóle zaczniemy”. Oczywiście, ta moja propozycja mogła się skończyć wyproszeniem mnie z mieszkania, bo oni spodziewali się pomocy, a ja tu się wygłupiam. Ale im to się spodobało – i rzeczywiście, coś takiego bardzo fajnego zaczęło się podczas tej rozmowy dziać. I naprawdę ja mógłbym Pana Boga wezwać na świadka, bo naprawdę nie kłamię, co najmniej dwadzieścia lat minęło od tamtej rozmowy i oni są małżeństwem nadal. Oczywiście, że uroda tego małżeństwa jest taka, że małżeńska wspólnota idzie trochę jak po grudzie. No, małżeństwa mają różną urodę, ludzie mają różne urody i małżeństwa też. I dobrze, bo nawet nudno byłoby na świecie, gdyby wszystko było różowe. I oni są małżonkami cały czas, i bardzo dobrze się w tym powołaniu realizują.

Sytuacja trzecia, zupełnie inna. Małżeństwo udane, oboje są zadowoleni, ale jedno z nich ma ogromny niepokój wewnętrzny, że do ołtarza przystępowało jakoś nieuczciwie. Mówi: „Ja bym się nigdy z nią nie ożenił, gdyby ona nie miała domu...”. Czasem takie historie się zdarzają. Albo, na przykład, bywa, że ktoś mówi: „Strasznie się bałam samotności, to było głównym powodem, dla którego wyszłam za mąż – a teraz czuję, że pewnie jakoś go skrzywdziłam...”. Takie sytuacje niekiedy się zdarzają. Wtedy próbuję trochę ulżyć tym ludziom i zdjąć z ich barków odrobinę tego ciężaru winy, który dźwigają czasem przez wiele lat, w ukryciu przed współmałżonkiem. Przypominam, że wola Boża wczoraj odnosiła się do naszego wczoraj, a dzisiaj odnosi się nie do naszego wczoraj, tylko do naszego dzisiaj. Wczoraj, człowieku, to rzeczywiście powinienes mądrzej zawierać małżeństwo, bo nie łączyłeś się w jedno ciało z domem, tylko z kobietą – ale jak

już to małżeństwo zawarłeś i jeszcze Pan Bóg w swojej dobroci sprawia, że ono jest takie udane, to po prostu dzisiaj swoją żonę kochaj! Najpiękniej jak potrafisz! Ciesz się tym szczęściem, które ci Bóg dał! A te jakieś nienajlepsze jego początki oddawaj Bożemu miłosierdziu. I jeszcze przyklepuj dziękczynieniem, że twoje niedoskonałości nie zaszkodziły twojemu małżeństwu.

Tak jest w ogóle z każdym powołaniem. Jestem już w takim wieku, że nieraz się zdarza, że również księża przychodzą do mnie ze swoimi problemami. Zdarza się nieraz ksiądz, który ma niepokój, że z tym jego powołaniem kapłańskim było tak trochę dziwnie – bo chciał sprawić przyjemność mamusi, na przykład. Przyznam szczerze, że tego nie rozumiem do końca, ale jak tak było, to było, trudno. Tego już teraz nie zmienisz. I nie ma co się przejmować, bądź po prostu porządnym kapłanem. A z drugiej strony, nawet najbardziej wzniosłe postawy w dniu święceń nie pomogą ci na sądzie Bożym, jeżeli ty swoje kapłaństwo sprawujesz byle jak. Analogicznie jest z małżonkami: najwspanialsze nastawienia duchowe na samym początku niewiele ci pomogą, jeżeli tamten kapitał zmarnowałeś.

Czasem się zdarza odwrotnie. Kiedyś przyszedł do mnie chłopak zaledwie 28-letni i powiada mi dramatycznie, że życie ma całe z głowy. A czemu? Bo był w seminarium duchownym, miał powołanie kapłańskie, na pewno dobre i prawdziwe, teraz to widzi – ale jeszcze przed święczeniami zakochał się, ożenił... I okazało się, że ożenił się z wiedźmą! No więc ja go pytam: „A co to znaczy, z wiedźmą?”. „Jak to ksiądz nie rozumie? po prostu z wiedźmą! Nie sposób z nią wytrzymać”. No to zrozumiałem. I tłumaczę mu tak: „Proszę pana, bardzo możliwe, że przedwczoraj pan miał powołanie kapłańskie, ale dzisiaj pan ma powołanie do małżeństwa. Tak wyglądają fakty. Co więcej, to jest powołanie już bardzo uszczegółowione, to znaczy ma pan powołanie do małżeństwa z tą swoją wiedźmą. Teraz do pana należy tak

się starać, żeby ona w tym małżeństwie przemieniała się w taką pana ukochaną wiedźmę. Jak dobrze pójdzie, to się okaże, że to jest księżniczka zaczarowana w wiedźmę i pan swoją miłością ją odczaruje. To jest bardzo możliwe, ponieważ Pan Bóg wiedźm nie stwarza”.

Co to znaczy: „ślubuję ci wierność”? Wierność w sensie, że, oczywiście, na całe życie, w doli i niedoli. To pytanie o wierność brzmi: „Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, dopóki was śmierć nie rozłączy?”. Żyjemy w czasach, kiedy już właściwie nie czujemy, że obrażamy swoją własną godność, obiecując rzeczy, których nie zamierzamy wypełnić. Dziś nikt już nie przejmuje się przysięgami i obietnicami. Być może wiąże się to z tym, że życie społeczne w naszych czasach pełnych niewiary w Pana Boga, wymaga od nas nieustannych deklaracji, zobowiązań, aktów lojalności i nie wiadomo czego. I potem efekty są takie, że nawet jak człowiek bierze ślub, to już tego słowa nie traktuje poważnie. Przytoczę autentyczną sytuację. Mąż zakomunikował żonie, że od niej odchodzi. Żona użyła argumentu, który jej się wydawał żelazny: „Przecież przysięgałeś mi przed ołtarzem!”. On na nią spojrzął z politowaniem i odparł: „Kobieto, o czym ty mówisz, przecież to było całe cztery lata temu, ty brałaś ślub zupełnie innym człowiekiem!”. A kiedyś na własne uszy słyszałem moją znajomą, która porzuciła męża i przez radio tłumaczyła z wyżyn swojej przemądrzałości, że człowiek jest istotą z natury poligamiczną i w związku z tym monogamia jest czymś, co się kłóci z naturą naszego człowieczeństwa, dlatego nie trzeba sobie robić wyrzutów z tego powodu, że nasze związki się kończą, a zaczynają następne!

Dziś mówi się często: „Ależ oczywiście, w Ewangelii jest napisane, że co Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela – ale przecież Jezus żył w zupełnie innych czasach! Czego wy chcecie, to się przecież czasy zmieniły, ludzka mentalność się zmienia!

O co wam chodzi? Jesteście strażnikami jakiejś przeszłości, która minęła i nie wróci! Czy sądzicie, że to dodaje wam urody, że jesteście takimi mamutami, dinozaurami?!” – to jest argumentacja, z którą spotykamy się na co dzień. Albo: „Ojejku, zakaz rozwodów, te zasady ustalają księża – a spójrzcie na księży, jak oni postępują!”. No tak, to argument, który ma dużo mocy, lecz jest to moc diabelska. Albo zdanie, które nader często pada w sytuacji, gdy zawiązuje się związek, który Panu Bogu się może nie podobać, bo co najmniej jedna ze stron jest związana sakramentem z inną osobą: „Ależ Pan Bóg nie może być przeciwny naszej miłości, bo nasza miłość jest tak piękna, że to po prostu by było grzechem ją niszczyć – przecież Jezusowi chodzi o miłość!”. I dopiero z tej perspektywy to rozumiemy, jak niezwykle ważne jest oparcie przysięgi małżeńskiej na miłości Boga do swojego ludu, na miłości Chrystusa do Kościoła. Bo Chrystus Pan nie jest poligamistą, Chrystus Pan ma jedyną małżonkę, Kościół święty – i jest jej wierny przez wieczność.

Bywają w życiu sytuacje, które są wyjątkową próbą wierności małżeńskiej. Pamiętam, kiedy wybuchł stan wojenny, zakazano wszelkich zgromadzeń i zebrań. Wtedy grupa rodziców dzieci autystycznych poprosiła o możliwość spotkania się w naszym klasztorze. Przy tej okazji z bliska zobaczyłem, przez jaką próbę te małżeństwa przeszły. Większość to były matki opuszczone przez swoich mężów, ojców tych dzieci – bo dziecko autystyczne, czy dziecko z zespołem Downa to w dzisiejszych czasach, kiedy egocentryzm jest tak wysoko ceniony, jest dla wielu ludzi sytuacją nie do przeskokzenia. Ten rodzaj próby, kiedy przychodzi, odsłania prawdę ludzkich serc. Wtedy jedni się zachowują pięknie, a drudzy, powiedzmy, idą za głosem swoich instynktów. Ja sam mam takich znajomych, gdzie wierność małżeńska została wystawiona na niesłychaną próbę. Ci młodzi ludzie mieli w sobotę ślub, a w czwartek, w niespełna tydzień, wypadek samochodowy.

I ona od tej pory jest na wózku inwalidzkim. Wielokrotnie próbowała odpędzić go od siebie, mówiąc: „Ty się żeniłeś ze zdrową dziewczyną, nie pisałeś się na to!” – ale on wie, że po prostu ją kocha. I że ślubował jej wierność. Wielkim problemem było dla niego namówić ją na dziecko, ale udało mu się, i to aż trzy razy. Ja podaję przykład wyjątkowej szlachetności, no ale, jak wiadomo, bywa różnie.

Wielką próbą dla przysięgi wierności małżeńskiej bywają również, najzwyczajniej w świecie, uczucia. Czasem rozmawiam z ludźmi, którzy przychodzą do mnie w sytuacji, kiedy zaczął się u nich trójkąt małżeński. To jest sytuacja, w której jako ksiądz bardzo lubię pomagać, bo jeżeli ktoś przychodzi do księdza z takim problemem, to jest 95% pewności, że on wróci do swojej współmałżonka. Bo ci, co naprawdę swoje małżeństwo chcą zniszczyć, do księdza nie przychodzą. Gdy rozmawiam z tymi, którzy przychodzą, problem jest zazwyczaj tego typu: „Zakochałem się w kimś trzecim i teraz dopiero widzę, że to jest naprawdę moja druga połówka! Boże, gdzie ja miałem oczy, że ja się z tą dziewczyną się ożeniłem!”. I powiadam, że lubię takie rozmowy, bo są to na ogół ludzie, którzy chcą po Bożemu wyjść z tej sytuacji. Wówczas daję parę następujących rad.

Po pierwsze, nie niepokoić się stanem niedobrego zakochania, nie próbować tego zakochania na siłę w sobie stłamsić, bo w ten sposób jeszcze możemy je wzmocnić. Traktować ten stan zakochania jako pokusę, modlić się, żeby Pan Bóg pomógł zgodnie ze swoją wolą to przetrwać, nie ulec. Krótko mówiąc, staram się jakby uwolnić tego człowieka od niesłusznych wyrzutów sumienia – bo on już często ten stan zakochania odczuwa jako grzech, może nawet jako straszny grzech, może jako już zdradę żony. Nie. Stan zakochania w kimś trzecim to jest, oczywiście, coś, co lepiej żeby się nie pojawiło, ale to nie jest grzech. Uczucie samo w sobie grzechem nie jest. Skoro się pojawiło, to muszę w sposób mądry

jakoś sobie z tym radzić. Po drugie, ponieważ to jest niewątpliwie zły ogień, nawet jeżeli go odczuwam jako bardzo szlachetny, pod taki ogień nie podkłada się drewnien. To znaczy: żadnych spotkań, żadnych telefonów, żadnych SMS-ów, żadnych odpowiedzi na ewentualne SMS-y! Telefonu nie odbieramy! Nie bać się także zachowań jasnych, nawet jeżeli będą odczytane jako niegrzeczne. Można całkiem jasno poinformować: „Czuję, że tego mi nie wolno”, można powiedzieć: „Jestem katolikiem, katoliczką”, albo po prostu: „Nie, to się kłóci z moim sumieniem”. Nie bać się nawet oskarżeń typu: „Ty mnie skrzywdziłeś, pozwoliłeś mi zaangażować się w siebie” i tak dalej. Czasem to może być czyjaś manipulacja, a czasem niewykluczone, że rzeczywiście skrzywdziłeś – tylko radą na to, że skrzywdziłeś, nie jest dalsze pogłębianie tej krzywdy. Radą jest: koniec z tym, i już.

Przypomina mi się taka bardzo przejmująca przestroga św. Grzegorza z Nazjanzu, patriarchy Konstantynopola, który zresztą był biskupem Konstantynopola bardzo krótko, tylko w czasie drugiego soboru powszechnego. Porównuje on życie ludzkie do podróży okrętem. Bywają takie podróże, że cała podróż przebiega w burzach i wśród przeciwnych wiatrów – ale w końcu okręt do portu dopływa bezpiecznie. Bywają również takie podróże, że wiatry pomyślne i wszystko idzie jak najlepiej – ale przy samym wejściu do portu okręt zatonię. Podobnie jest z małżeństwami. Są małżeństwa, które, biorąc czysto po ludzku, już wielokrotnie powinny się rozlecieć, one zaś po Bożemu dopełniają swoich dni. Zarazem rozwody coraz częściej zdarzają się w naszych czasach starszkom, ludziom z nawet 40-letnim małżeńskim stażem! Trudno to zrozumieć, ale już dawno odkryto, że jak mówi przysłowie, „w starym piecu diabeł pali”. Niestety, również starszankowie są do różnych decyzji niegodziwych kuszeni – i niekiedy im ulegają.

W Polsce ostatnio wielki jest problem wierności małżeńskiej w sytuacji, kiedy jedno z małżonków wyjeżdża do innego kraju za

pracą. Miałem osobiście takie doświadczenie w roku 1983, gdy głosiłem rekolekcje dla Polaków w Londynie. Byłem tak obłożony przez ludzi proszących o rozmowę, że calusienkie Święta Wielkanocne, zamiast świętować, ja tylko albo spowiadałem albo rozmawiałem z ludźmi poranionymi, których rodziny się rozpadły, nieraz całkowicie. Było to pokłosie tego, co wydarzyło się półtora roku wcześniej. Kiedy w Polsce wybuchł stan wojenny, rząd Jej Królewskiej Mości automatycznie przyznał wizy stałego pobytu tym Polakom, których stan wojenny zastał na terenie królestwa. Właśnie w tej grupie pojawiło się mnóstwo trójkątów, a nawet czworokątów małżeńskich. Ufam, że dzięki tamtym rozmowom przynajmniej niektóre z tych małżeństw zostały uratowane – ale to jest problem, który ma miejsce nadal, również i teraz. Niestety wiele małżeństw ginie właśnie z powodu takiej rozłąki. Nauczyłem się tak doradzać, żeby małżonkowie, na ile to możliwe, nie rozłączali na dłużej, niż na pół roku. Po prostu, naprawdę biedy można sobie napytać. Dzieci też się krzywdzi przy okazji. Tłumaczę wtedy, że twoje dziecko, które dzisiaj ma pięć lat, ono pięć lat ma tylko w tym roku.

I wreszcie trzeci przedmiot przysięgi małżeńskiej: uczciwość małżeńska. Co to znaczy: „ślubuję ci uczciwość małżeńską”? To ilustruje to trzecie, ostatnie pytanie kapłana: „Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy?”. Tutaj otwiera się temat rzeka. Ja chciałbym zwrócić uwagę w tej książce tylko na tak zwany „syndrom ocalańca”. Jest to coś szalenie niepokojącego, coś szalenie niszczącego miłość, nie tylko małżeńską, ale także rodzicielską, jeżeli nie dopuściło się do narodzin choćby jednego dziecka. Bo jeżeli spowodowałem śmierć jednego dziecka, to nawet, jeśli pozwoliłem narodzić się innym, to znaczy, że żadnego z moich dzieci nie kocham bezwarunkowo. To oznacza, że przyjąłem któreś dziecko i wychowuję je tylko dlatego, że ono spełniło odpowiednie wa-

runki. Miało to szczęście, że nie miało zespołu Downa, że nie przyszło w czasie, kiedy pisałem pracę magisterską, albo w czasie, kiedyśmy jeszcze domu własnego nie mieli, albo w czasie, kiedy tak się złożyło, że aż dwoje spośród naszych rodziców było chorych na raka i odchodziło z tego świata... Miało szczęście, że przyszło w na tyle dogodnym momencie, że mogliśmy sobie na nie pozwolić. My o tym za mało mówimy, za mało to sobie uświadamiamy, że dziecko – ponieważ jest poczęte z miłości małżeńskiej – ma bezwzględne prawo do tego, żeby było przyjęte z miłością bezwarunkową! Dziecko nie musi spełniać żadnych warunków, żeby je kochać! Wystarczy, że ono jest!

W to zagadnienie uczciwości małżeńskiej wpisuje się również wielki problem pokolenia dziś już dorosłych dzieci, które przez lata nie mogą uporać się wewnątrznie z faktem, że ich rodzice się rozwiedli. I, co bardzo znamienne, problem ten nie dotyczy tych osób, które w dzieciństwie zostały osierocone przez jedno z rodziców. Jasne, że każdemu dziecku należy się dwoje rodziców. Ale bywa tak, że ojciec czy matka umrą – tylko że dziecko, które ma grób swojego rodzica, nie jest opuszczone. Ono może pójść na grób, ono wie, że nie zostało porzucone, tylko swojego rodzica utraciło. Tymczasem rodzic, który odchodzi, porzuca rodzinę, przekazuje dziecku dwa komunikaty. Po pierwsze, że go nie kocha – nawet, gdyby szczerze zapewniał, że jest inaczej. Po drugie, że z tą nauką Kościoła na temat małżeństwa to jest jakiś szwindel, że to jest nauka ponad ludzkie siły, a w każdym razie ponad siły naszej współczesnej epoki.

7. CZY KATOLIKOWI WOLNO ZGODZIĆ SIĘ NA ROZWÓD?

Zacznę najpierw od nieco innej kwestii, a mianowicie od sytuacji, którą w języku potocznym określa się całkowicie błędnie jako tak zwany „rozwód kościelny”. Mam na myśli, oczywiście, sytuację, kiedy sąd kościelny orzeka nieważność jakiegoś małżeństwa. Wielu uczciwych katolików staje przed pytaniem: „A może również moje małżeństwo było zawarte nieważnie? może sąd kościelny orzekłby jego nieważność, gdyby go o to spytać?”

Prawo kościelne tu jest niezwykle jasne. Zresztą otworzymy *Kodeks Prawa Kanonicznego*:

Kan. 1060 § 1. Małżeństwo cieszy się przychylnością prawa, dlatego w wątpliwości należy uważać je za ważne, dopóki nie udowodni się czegoś przeciwnego.

W kolejnym kanonie czytamy szczegółowo:

Kan. 1061 § 1. Ważne małżeństwo pomiędzy ochrzczonymi nazywa się tylko zawartym, jeśli nie zostało dopełnione; zawartym i dopełnionym, jeśli małżonkowie podjęli w sposób ludzki akt małżeński przez się zdolny do zrodzenia potomstwa, do którego to aktu małżeństwo jest ze swej natury ukierunkowane i przez który małżonkowie stają się jednym ciałem.

§ 2. Gdy po zawarciu małżeństwa małżonkowie wspólnie zamieszkałi, domniemywa się dopełnienie,

dopóki coś przeciwnego nie zostanie udowodnione.

§ 3. Nieważne małżeństwo nazywa się mniemanym, jeśli zostało zawarte w dobrej wierze przez jedną przynajmniej ze stron, dopóki obydwie strony nie upewnią się o jego nieważności.

Kościół jasno stwierdza, że w przypadku jakichkolwiek wątpliwości małżeństwo należy uważać za ważne, dopóki nie udowodni się czegoś przeciwnego. Ja osobiście znam przypadek małżeństwa zawartego w sposób niewątpliwie nieważny, ale ważnego, ponieważ małżonkowie nigdy nie odwoływali się w tej sprawie do sądu kościelnego. Zatem małżeństwo to miało swój sens przed Bogiem, a oboje przeżyli wspólnie w tym powołaniu aż do śmierci.

A było to tak: dziewczyna utraciła oboje rodziców w czasie wojny, a odpowiedzialni za nią wujkowie, żeby jak najszybciej kłopot z głowy zrzucić, znaleźli jej kogoś i ewidentnie przymusili do małżeństwa. W niedzielę był ślub, a we wtorek dziewczyna uciekła od męża. Wróciła dopiero po pół roku. Urodziła trójkę dzieci, nigdy do sądu kościelnego się nie zwracała o orzeczenie nieważności – a niewątpliwie nawet rok przed śmiercią sąd kościelny orzekłby nieważność, ponieważ została zmuszona. Ale przeżyli razem życie, pogrzebała męża, w końcu sama umarła – i ufajmy, że oboje są teraz w niebie. To jest stanowisko Kościoła, że małżeństwo nie potrzebuje udowadniania swojej ważności – co najwyżej można udowadniać jego nieważność. To właśnie oznacza ta formuła, że „małżeństwo cieszy się przychylnością prawa”.

Natomiast jeżeli idzie o ten problem, że dzisiaj Kościół, jak to się mówi, lekką ręką orzeka nieważność małżeństwa, to zwracali na to uwagę w specjalnych dokumentach zarówno św. Jan Paweł II, jak Benedykt XVI. Zatem pogląd ten nie jest wysany z palca. Zarazem wspomniani papieże jednoznacznie przypomi-

nali, że słowo Chrystusa Pana, iż co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela, nigdy nie przestanie w Kościele obowiązywać. Jeśli jakiś sędzia kościelny przyczynia się do niezgodnego z prawdą orzeczenia nieważności jakiegoś małżeństwa, rzecz jasna, zda kiedyś z tego rachunek przed Panem Bogiem. Z drugiej jednak strony, wyrokom Kościoła warto się podporządkować także i wówczas, kiedy jakieś konkretne orzeczenie wydaje mi się niesprawiedliwe – bo jednak, po pierwsze, ja mogę się pomylić, a po drugie, bo generalnie warto ufać, że sędziowie kościelni wydający te wyroki pamiętają o swojej odpowiedzialności przed samym Bogiem.

Taka postawa zaufania na pewno jest czymś racjonalnym. Jestem księdzem pół wieku i wielokrotnie miałem kontakt z różnymi księżmi, którzy pracują w sądzie kościelnym, także z szefami tych sądów. I wiem, że są to ludzie o różnych temperamentach. Jeden z nich, dziś już nieżyjący, który przez lata kierował sądem kościelnym swojej diecezji, wyznał mi kiedyś: „Naprawdę serce się rozrywa, tyle ludzkiego nieszczęścia! Nieraz tak by się chciało orzec nieważność małżeństwa, ale nie widać powodów!”. Ja wiem tylko to jedno, że ostateczną ważność mają słowa Pana Jezusa: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”. Krótko mówiąc, nie wolno nam zapomnieć, że jesteśmy ludźmi, a Pan Bóg jest Panem Bogiem.

Ale teraz zwrócę się do tych, od których współmałżonek odszedł. Może założył nowe gniazdo, może ma dzieci z tym kimś innym, na powrót nie widać szans... Tymczasem wasz sakrament jest ważny, na orzeczenie nieważności nie widzicie szans. Czy, jako katolicy, możecie skorzystać z możliwości wzięcia rozwodu cywilnego? Czy jest chociaż jedna, jedyna furtka w nauce Kościoła, która pozwalałaby wam nie przejmować się tym, że macie ślubnego małżonka, który postanowił być z kimś innym?

Przytoczę naukę Kościoła na temat rozwodu, zawartą w Katechizmie Kościoła Katolickiego:

Rozwód jest poważnym wykroczeniem przeciw prawu naturalnemu. Zmierza do zerwania dobrowolnie zawartej przez małżonków umowy, by żyć razem aż do śmierci. Rozwód znieważa przymierze zbawcze, którego znakiem jest małżeństwo sakramentalne. Fakt zawarcia nowego związku, choćby był uznany przez prawo cywilne, powiększa jeszcze bardziej ciężar rozbicia; stawia bowiem współmałżonka żyjącego w nowym związku w sytuacji publicznego i trwałego cudzołóstwa [...]

Niemoralny charakter rozvodu wynika z nieporządku, jaki wprowadza on w komórkę rodzinną i w społeczeństwo. Nieporządek ten pociąga za sobą poważne szkody: dla porzuconego współmałżonka, dla dzieci, które doznały wstrząsu z powodu rozejścia się rodziców, często starających się pozyskać ich względy, oraz z uwagi na zły przykład, który czyni z niego prawdziwą plagę społeczną.

Może zdarzyć się, że jeden ze współmałżonków jest niewinną ofiarą rozvodu orzeczonego przez prawo cywilne; nie wykraça on wówczas przeciw przepisowi moralnemu. Istnieje znaczna różnica między współmałżonkiem, który szczerze usiłował być wierny sakramentowi małżeństwa i uważa się za niestuszenie porzuconego, a tym, który wskutek poważnej winy ze swej strony niszczy ważne kanonicznie małżeństwo (KKK 3284-2386).

Kiedyś przyszła do mnie kobieta, którą mąż opuścił osiem lat temu. Założył nową rodzinę, już nawet nie pamiętam, czy miał dzieci, czy nie, ale już ileś tam lat żył z drugą kobietą. W przeddzień rozprawy rozwodowej ona przyszła do mnie się, jak powiedziała, poradzić – a jak potem się okazało, wcale nie radzić, tylko szukać aprobaty dla swojej niezgody na rozwód. Zadała mi pytanie, jak ma się zachować podczas tej rozprawy. Bo wiadomo, że sąd na pewno orzeknie rozwód, zgodnie z prawem dawno nastąpił już tak zwany „trwały rozpad pożycia” – i jeżeli ona będzie się

sprzeciwiała, to wszyscy to odczytają jako złośliwość i mściwość. Ludzie osądzą ją jednoznacznie: Dewotka, porzucona, nie pozwala facetowi ułożyć sobie życia. I kiedy tak mi ona przedstawiła całą tę historię, we mnie odezwał się chłopiek-roztropek, który zapomniał, że jest katolickim księdzem. I powiedziałem jej: „No, widzi pani, ponieważ pani wie, że w obliczu Boga on i tak nie przestanie być pani mężem, to żeby oszczędzić sobie tych właśnie przykrości, to niech pani się zgodzi”.

Nie zapomnę tych kwadratowych oczu jakie jej się wtedy zrobiły, że ksiądz takie rzeczy jej mówi! Tak mi odparła: „Proszę księdza, ja wiem, że rozwód będzie orzeczony, ale ja chcę mu zostawić jeszcze ostatnie słowo miłości. Bo jeżeli ja się zgodzę na rozwód, a on jest niewierzący, to będzie tak, jakbym ja mu dała rozgrzeszenie – a to by było rozgrzeszenie nieprawdziwe i ja bym go tym skrzywdziła. Ja chcę mu zostawić jeszcze moje ostatnie przesłanie, że źle zrobił, że skrzywdził swoją żonę i swoje dzieci!”. I tak zrobiła – a ja dostałem pouczenie. Cała ta historia skończyła się zupełnie jak w wiejskiej powieści. Rozwód, oczywiście, został udzielony, ale bardzo szybko ten człowiek zachorował na raka. Wówczas kochanka, jak to bywa, uciekła. I ta biedna, prawowita żona dochowała wierności w ciężkiej pracy doglądania go w chorobie i w umieraniu. Ktoś może powiedzieć: „No, głupia sprawa, do głupich rzeczy ta wiara chrześcijańska namawia”, ale my jesteśmy właśnie tacy głupcy ze względu na Chrystusa. I to jest świadectwo, nawet dla tego męża, który był, wydawało się, kompletnie zamknięty na świadectwo. To jest świadectwo dla dzieci, przekazywany im ogromnie ważny komunikat, że małżeństwo jest święte. Świadectwo takie rzucane w przestrzeń, dla każdego, kogo zechce tym świadectwem ubogacić Bóg.

8. CZY ZDRADA MAŁŻEŃSKA USPRAWIEDLIWIA ROZWÓD?

Na koniec spróbuję w ogromnym skrócie pokazać stanowisko Kościoła wobec zasady jedności małżeństwa i wierności małżeńskiej w pewnej bardzo konkretnej kwestii, gdzie dość często spotyka się wątpliwości. Nie jest wykluczone, że wielu dobrych, tak zwanych praktykujących katolików kiedyś miało problem z tym zapisem w Ewangelii według św. Mateusza, gdy Pan Jezus, owszem, zakazuje mężowi opuszczać żony, a żonie opuszczać męża – lecz za wyjątkiem nierządu:

Wtedy przystąpili do Niego faryzeusze, chcąc Go wystawić na próbę, i zadali Mu pytanie: «Czy wolno oddalić swoją żonę z jakiegokolwiek powodu?». On odpowiedział: «Czy nie czytaliście, że Stwórca od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę? I rzekł: Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela». Odparli Mu: «Czemu więc Mojżesz polecił dać jej list rozwodowy i odprawić ją?». Odpowiedział im: «Przez wzgląd na zatwardziałość serc waszych pozwolił wam Mojżesz oddalać wasze żony; lecz od początku tak nie było. A powiadam wam: Kto oddała swoją żonę – chyba w wypadku nierządu – a bierze inną, popełnia cudzołóstwo. I kto oddaloną bierze za żonę, popełnia cudzołóstwo» (Mt 19,3-9).

Niektórzy w tym zapisie próbują znaleźć taką szczelinę na aprobatę dla rozwodu. Wiele jednak wskazuje na to, że Pan Jezus nie mówił tutaj o cudzołóstwie. Wyraz grecki "porneia", który w przekładzie polskim oddano jako "nierząd", w tym kontekście najprawdopodobniej znaczy: 'związek niebędący prawnym małżeństwem'. Kiedy Pan Jezus powiedział Samarytance, że „miałaś pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, też nie jest twoim mężem” (J 4,18), mówił o takim właśnie związku. Istnieją niepozostawiające wątpliwości świadectwa z czasu początków chrześcijaństwa, że cudzołóstwo jednego z małżonków nie jest i nie może być podstawą do rozwodu. Tak m.in. jednoznacznie rozstrzyga napisany w roku około 150 Hermas, rodzony brat papieża św. Piusa I, autor *Pasterza*, pisma cieszącego się bardzo wysokim autorytetem w ówczesnym Kościele. Otóż Hermas tak oto odpowiada na pytanie, jak ma postąpić mąż, którego żona związała się z kimś innym:

„Niech ją oddali, a sam niech żyje samotnie. Jeśli zaś oddali swoją żonę i pojmie inną, wtedy i on dopuszcza się cudzołóstwa. «A jeśli – pyta Hermas oprowadzającego go Anioła – kobieta po swym oddaleniu pokutuje i chce powrócić do swego męża, czy on jej nie powinien przyjąć z powrotem?». «Z pewnością – odrzekł – jeśli mąż jej nie przyjmie, grzeszy i wielką na siebie ściąga winę. Powinno się przecie przyjąć tego, który zgrzeszył, a czyni pokutę. A zatem dla tej pokuty mężowi żenić się nie wolno. Oto, jak mąż i żona powinni się zachowywać»”.

Jak widać, już starożytny Kościół miał wielki problem z tym, że ówczesne prawa państwowe, przede wszystkim prawo rzymskie, dopuszczało rozwody. I wielu ludzi – zwłaszcza, że od czasów jeszcze przedchrześcijańskich społeczeństwa były przyzwyczajone do rozwodów – sądziło, że jeżeli prawo państwowe dopuszcza rozwody, to wobec tego również chrześcijanom wolno wchodzić w następne małżeństwa. Liczni Ojcowie Kościoła temat ten podejmo-

wali, zdecydowanie twierdząc, iż żadne prawa ludzkie nie mogą unieważnić prawa Ewangelii. Św. Ambroży pisał tak oto:

„Opuszczasz żonę, tak jakbyś miał do tego prawo i nie popełniał winy. Sądziś, że ci to wolno, bo prawo świeckie tego nie zabrania. Ale prawo Boże tego zakazuje. Posłuchaj prawa Pana, które odnosi się również do tych, którzy prawa wydają: Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza. Jednak niszczysz nie tylko Boskie przykazanie, ale również samo dzieło Boga, czyli małżeństwo. Czy pozwolisz, pytam cię, aby za twego życia twoje dzieci podlegały ojczymowi, albo żeby za życia matki zajmowała się nimi macocha?” (*Wykład Ewangelii Łukasza* 8,1,5).

Z kolei św. Hieronim zdecydowanie sprzeciwiał się rozpowszechnionej w ówczesnym pogańskim społeczeństwie opinii, jakoby w sprawach małżeńskich przykazania Boże obowiązywały mężczyzn tylko częściowo. Hieronim jest ważnym świadkiem tego, jak wielką pracę Kościół wykonał na rzecz przypominania, że przykazania Boże dotyczą w równym stopniu kobiety co mężczyzn:

„Inne są prawa cesarów, inne Chrystusa. Co innego nakazuje Papinianus, co innego Apostoł Paweł. Tamci pozwalają na bezwstyd mężczyznom, a ponieważ potępiają jedynie gwałt i cudzołóstwo, na każdym kroku pozwalają na rozpustę w domach publicznych i w stosunku do młodych służebnych. U nas czego nie wolno kobietom, tego nie wolno także mężczyznom; służba jest taka sama i w tych samych warunkach się odbywa” (*List* 77).

Natomiast św. Jan Złotousty, skazany na wygnanie patriarcha Konstantynopola, praktycznie męczennik, bo żołdacy cesarscy otrzymali rozkaz, żeby w trakcie wypędzania go zamęczyć na śmierć, pisał: „Nie zarzucajcie mi, że prawa cywilne pozwalają wam dokonać rozwodu i opuścić żonę. Nie według tych praw Bóg was będzie sądził w wielkim dniu Sądu, ale według praw, jakie sam ustanowił” (*O małżeństwie* 2,1).

Tak było już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. A teraz przypomnijmy sobie dzieje tworzenia się mentalności prorozwodowej w naszej Europie nowożytnej, bo w jakimś sensie wszyscy jesteśmy ofiarami tej mentalności. Gdyby nie ta mentalność prorozwodowa, to prawdopodobnie wszystkie polskie małżeństwa kwitłyby, a kryzysy z Bożą pomocą udawałoby się im przezwyciężyć. Bo to jest trochę tak, jak, powiedzmy, kiedy dwóch studentów idzie na studia. Normalnie dla studenta to powinno być czymś oczywistym, że po to idzie na studia, żeby je skończyć. Chociaż zdarza się czasem, że student studiów nie skończy, ale przecież po to idzie on na studia, żeby je skończyć. Jeżeli jednak student idzie na studia z takim nastawieniem: „A, skończę, to dobrze, nie skończę – drugie dobrze, co mi tam!” – no to, rzecz jasna, jest ogromne niebezpieczeństwo, że tych studiów nie skończy. Dzisiaj bardzo wielu ludzi wchodzi w małżeństwo z takim właśnie nastawieniem: „Jeśli uda się, to fajno, nie uda się – drugie dobrze”. Przykro o tym pisać, ale nasi bracia protestanci dali początek mentalności prorozwodowej swoimi wystąpieniami przeciwko sakramentowi małżeństwa.

Pierwszy Luter ogłosił rewolucyjną tezę, że Kościół i duchowni nie mają nic do ślubów i małżeństw, ponieważ jest to sprawa wyłącznie państwa. Pierwsze śluby cywilne, możliwość w ogóle zawarcia ślubów cywilnych, zostały wprowadzone prawnie w Holandii 1 kwietnia 1580 roku w antykatolickiej ustawie, która nie dopuszczała w ogóle mieszkania choćby jednego duchownego katolickiego na terenie państwa. Skutkiem tego było to, że uchwalono ustawę o ślubach cywilnych po to, żeby nie gwałcić sumień przymusem brania ślubów w obrządku protestanckim. Ale to jeszcze chodziło o śluby, jeszcze nie o rozwody.

Natomiast pierwszą ustawą rozwodową jest dokument Rewolucji Francuskiej z 20 września 1792 roku: Ustawa o stanie cywilnym obywateli. Ustawa ta obowiązywała stosunkowo krótko, to znaczy dwadzieścia cztery lata, bowiem w 1816 roku, w ra-

mach restauracji monarchii we Francji została cofnięta. A jednak pokłosie zostało. My dzisiaj tego nie wiemy, bo o tym się w szkołach nie uczy, nam się Księstwo Warszawskie bardzo pozytywnie kojarzy – i w zasadzie słusznie, bo to była pierwsza nasza realna nadzieja na odzyskanie niepodległości – ale warto wiedzieć, że w Księstwie Warszawskim księża byli ścigani prawnie za odmowę udzielenia ślubu kościelnego osobie po rozwodzie cywilnym. Typowa dla obozu postępu metoda szerzenia swoich wartości poprzez łamanie sumień. Jednak prawo kościelne stanowczo zakazywało udzielania sakramentu małżeństwa osobom do przyjęcia tego sakramentu niezdolnym. Nie pomogło nakładanie na księży kar więzienia lub dotkliwej grzywny za odmowę udzielenia ślubu rozwodnikom. W końcu Kościół wywalczył tyle, że przynajmniej do tego przestano kapłanów zmuszać.

Prawo rozwodowe we Francji już na dobre zostało uchwalone po raz drugi 27 lipca 1884, w innych państwach oczywiście odpowiednio później. Natomiast warto wsłuchać się w argumentację ówczesnych promotorów prawa rozwodowego. Jeden z parlamentarzystów francuskich argumentował wprowadzenie rozwodów tym, że dzięki temu ocali się mnóstwo małżeństw! Dlaczego? Ano bo w pierwszych latach po uchwaleniu ustawy rozwodowej rozejdą się związki, które dotychczas były nieszczęśliwe i później liczba rozwodów zacznie się zmniejszać z roku na rok, aż w końcu dojdzie do bardzo umiarkowanej cyfry... Dziś chyba każdy rozumie, że była to czysta demagogia, ale w tamtym czasie taka argumentacja niektórych przekonywała.

Kościół odbył wtedy bardzo ciężką pracę sprzeciwiania się narastającej zgodzie na wprowadzanie rozwodów i tworzeniu mentalności prorozwodowej. I tak papież Pius VI już 28 maja 1793 roku zareagował przeciwko wprowadzeniu wspomnianej ustawy rozwodowej we Francji. Z kolei papież Leon XIII w roku 1880 napisał bardzo ostre – i, niestety, prorocze, słowa:

„Jakkolwiek współcześni prawodawcy twierdzą, że uznają słuszne zasady, na których opierać się winny małżeństwa, jednak sądzą, że wobec upadku obyczajów zasad tych obronić się nie da i że uwzględnic należy dzisiejsze warunki życia, a więc uznać możliwość rozwodów, powołując się w tym na przykłady przeszłości. Pomijając inne dane historyczne, Francja jakoby daje przykład, z czasów rewolucji, gdy całe społeczeństwo zdawało się odrzucić Boga, a w następstwie tego wprowadziło ustawy, które uznały rozwody małżeństw. Pragnąc zatem wznović te ustawy, w rzeczy samej, aby nade wszystko usunąć z życia społeczeństw wszelki związek z Bogiem i z Kościołem; sądzą niemądrze, iż najskuteczniejszym lekarstwem na dzisiejsze rozpasanie niemoralności jest zastosowanie owych ustaw o rozwodach.

Ile złego sprawiają rozwody, zbyt wiele by było dowodzić. Przy ich istnieniu i z ich powodu słabnie węzeł małżeński, zanika wzajemna życzliwość, staje otworem droga do niewierności; wychowanie dzieci ulega zaniedbaniu; rodziny całe narażone są na rozbitcie; powstają nieporozumienia między rodzinami; zatracą się godność kobiet, które narażone są na niebezpieczeństwo porzucenia przez mężczyzn, odkąd służą poczynają za narzędzie zaspokojenia ich rozwiązłych popędów. Ponieważ zaś zepsucie obyczajów najbardziej wpływa na zniszczenie rodzin i poderwanie dobrobytu państw, stąd staje się oczywiste, że rodzinom i państwom niezmiernie szkodzą rozwody; same przez się one są wynikiem upadku moralności wśród społeczeństw i w dalszym ciągu, jak stwierdza doświadczenie, torują drogę do głębszego jeszcze upadku.

Jeżeli zważymy, że przy uznaniu możliwości rozwodów, nie znajdują się żadne hamulce, które by utrzymały stosowanie tego prawa w pewnych przewidzianych i zamierzonych granicach, to musimy uznać, że grożące z rozwodów niebezpieczeństwo jest niezmierniej wagi. Wielką siłę posiadają przykłady, ale większą – namiętności: muszą one doprowadzić do tego, że pasja rozwodów z dnia

na dzień opanowywać będzie coraz większą ilość dusz, jak zaraźliwa choroba albo potoki wezbrane wód, które wszelkie łamią tamy” (Encyklika Arcanum divinae sapientiae).

Pół wieku później, w roku 1930, równie ostro krytykował narastającą mentalność prorozwodową papież Pius XI w encyklice poświęconej małżeństwu:

„Z boleścią patrzymy na poníženie i powszechne sponiewieranie, jakiego małżeństwo nieraz doznaje w naszych czasach. Już bowiem nie tylko pokątnie, w skrytości, lecz publicznie, z bezwstydną szczerością deptana jest i ośmieszana świętość małżeństwa: żywym słowem, drukiem, w teatrach, romansach, erotycznych opowieściach i satyrach, kinach, wykładach radiowych, wszelkimi w ogóle nowoczesnymi wynalazkami. Rozwody, cudzołóstwa, przeróżne występki wychwala się lub przedstawia tak nęcąco, jakby w nich nic grzesznego ani hańbiącego nie było. Ukazują się wydawnictwa, zachwalane jako naukowe, w rzeczy samej jednakże przybrane tylko w pozory naukowości, aby tym łatwiej zdobyć zaufanie czytelników. Głoszone w nich zasady podaje się za wyniki współczesnej nauki, i to nauki, starającej się o ustalenie samej tylko prawdy, a odrzucającej przestarzałe dawne przesady. Wśród tych staroświeckich zapatrywań odrzuca ona i usuwa tradycyjne zasady chrześcijańskie o małżeństwie” (Encyklika Casti Connubii).

Skorzystam jeszcze z okazji, że podczas naszych rekolekcji poruszam temat rozwodów, i powiem parę zdań na temat wypracowanego na terenie socjologii amerykańskiej pojęcia *divorcitis*. Jest to zjawisko zagrożenia rozwodem, które pojawia się w małżeństwach w zasadzie udanych, które same z siebie o rozwodzie nigdy by nawet nie pomyślały. Mianowicie sam fakt, że jakiś

rozwód zdarzył się w rodzinie albo wśród przyjaciół czy sąsiadów, zwiększa prawdopodobieństwo tego, że również ty zaczniesz się zastanawiać nad tym, czy nie wejść na ścieżkę rozwodową. *Divorcitis* działa na podobieństwo jakiegoś wirusa, istotnie przyczynia się do tego, że można dziś mówić o epidemii rozwodów. Św. Jan Paweł II zwracał kiedyś uwagę na to, że „już sama możliwość uzyskania rozwodu w sferze prawa cywilnego czyni trwałe i stabilne małżeństwo trudniejszym dla każdego”. Jeszcze trudniej wytrwać w wierności małżeńskiej w atmosferze szalejącego *divorcitis*.

Na szczęście, wierny jest Bóg i nie dopuści na nas próby ponad siłę, a nawet gdyby taką próbę dopuścił, da równocześnie moc, abyśmy mogli przejść przez nią bezpiecznie (por. 1 Kor 10,13).

ZAKOŃCZENIE

Na zakończenie pragnę jeszcze raz włączyć się w tak charakterystyczną dla Wspólnota Sychar wiary, że małżeństwo każde – i to bardzo udane, i to właśnie nieudane, a nawet to, które się rozpadło – ma szansę realizować część tej miłości, która łączy Chrystusa i Kościół. Jeśli tylko szczerze szukamy Pana Boga, wówczas również twoja indywidualna historia małżeńska może stać się jednym ze sposobów, w jaki Kościół wyraża swoją miłość Chrystusowi. Pozostaje pytanie: „W jaki sposób moje sakramentalne małżeństwo – nawet takie, które po ludzku biorąc już się rozpadło – mogę przemieniać już teraz w cud mistycznej miłości Chrystusa i Kościoła?”. Bo nie jest to tylko płonne oczekiwanie. To realna wiara, że Bóg, który jest wszechmocny, potrafi uzdrowić i już teraz przemienić w udział miłości Chrystusa i Kościoła każde sakramentalne małżeństwo.

Czuję, że powinienem się na koniec podzielić taką bardzo wielką mądrością na temat małżeństwa – a także kapłaństwa i życia zakonnego – Sługi Bożego księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego. On lubił ten temat poruszać zwłaszcza na Jasnej Górze i w innych sanktuariach maryjnych. A mówił następująco. Kiedy przemawiał do matek, to mówił tak: „Kochane matki, przyjechałyście tutaj, żeby uczcić Matkę nad matkami, Matkę Najświętszą. Ale nie wolno wam zapominać, że ta Matka jest Dziewicą. Otóż, wasze macierzyństwo nie będzie do końca spełnione, jeżeli zabraknie w nim czegoś dziewiczego”. Natomiast do sióstr

zakonnych mówił odwrotnie: Kochane siostry, tak wpatrujecie się w Dziewicę Maryję, ale nie wolno wam zapomnieć, że ta Dziewica jest Matką. Wasze dziewictwo, wasz celibat, choćbyście skrupulatnie go zachowały, będzie funta kłaków wart, jeżeli nie będzie miał w sobie czegoś macierzyńskiego, jeżeli nie będzie owocował duchową płodnością. I to samo mówił do kapłanów: Nie daj Boże, żeby kapłan nie zachowywał celibatu. Jednak chodzi nie tylko o to, żeby wiernie go zachowywać. Sensem celibatu jest to, że on będzie was uzdalniał do realizowania posługi ojcostwa w Kościele. Myślę, że te intuicje Prymasa Tysiąclecia poniekąd rozświetlają wszystkie myśli tej książki. Niech Pan Jezus w tym błogosławi każdemu, kto weźmie tę książkę do rąk – a i mnie też.

Zakończmy nasze rekolekcje odczytaniem *Hymnu o miłości*. Każdy z nas wielokrotnie wsłuchiwał się w ten wspaniały tekst apostoła Pawła. Bardzo możliwe, że niektórzy z nas słyszeli go na własnym ślubie. Dzisiaj spróbujmy go słuchać z tą świadomością, że tak ostatecznie Miłością, o której mówi apostoł Paweł, jest sam Trójjedyny Bóg...

*Gdybym mówił językami ludzi i aniołów,
a miłości bym nie miał,
stałbym się jak miedź brzęcząca
albo cymbał brzęmiący.
Gdybym też miał dar prorokowania
i znał wszystkie tajemnice,
i posiadał wszelką wiedzę,
i wszelką [możliwą] wiarę, tak iżbym góry przenosił.
a miłości bym nie miał,
byłbym niczym.
I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją,
a ciało wystawił na spalenie,*

lecz miłości bym nie miał,
nic bym nie zyskał.
Miłość cierpliwa jest,
łaskawa jest.
Miłość nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;
nie dopuszcza się bezwstydu,
nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.
Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma.
Miłość nigdy nie ustaje,
[nie jest] jak prorocтва, które się skończą,
albo jak dar języków, który zniknie,
lub jak wiedza, której zabraknie.
Po części bowiem tylko poznajemy,
po części prorokujemy.
Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe,
zniknie to, co jest tylko częściowe.
Gdy byłem dzieckiem,
mówiłem jak dziecko,
czułem jak dziecko,
myślałem jak dziecko.
Kiedy zaś stałem się mężem,
wzbyłem się tego, co dziecięce.
Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno;

*wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz:
Teraz poznaję po części,
wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany.
Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy:
z nich zaś największa jest miłość (1 Kor 13,1-13).*

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
1. Dar Kościoła	7
2. Duch Święty sprawcą sakramentów i dawcą łaski	33
3. Sakramentalność małżeństwa	45
4. Dom duchowy	61
5. Rodzina małym Kościołem	71
6. Teologia przysięgi małżeńskiej	87
7. Czy katolikowi wolno zgodzić się na rozwód?	105
8. Czy zdrada małżeńska usprawiedliwia rozwód?	111
Zakończenie	119

MARZENA ZIĘBA

SYCHAR
ROZWAŻANIA
RÓŻAŃCOWE

Zróbcie wszystko
cokolwiek wam powie Jezus



SYCHAR ZNOWU RAZEM

Jak wrócić do sakramentalnego małżonka,
wychowując nieslubne dzieci?

ŚWIADECTWA



MARZENA ZIĘBA
ROBERT ŁAJEWSKI

SYCHAR

DROGA KRZYŻOWA
MAŁŻONKÓW
W KRYZYSIE

Dwoje ludzi jedna Droga Krzyżowa



ANNA JEDNA

SYCHAR

ILE JEST WARTA
TWOJA ○BRĄCZKA?

książka dla pragnących kochać
mimo wszystko



miłość.
nie ma.
wcale.
końca!

Anna Jedna



WWW.WYDAWNICTWOFIDES.PL



Wydawnictwo Fides, ul. Koziennicka 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

Kiedyś przyszła do mnie kobieta, którą mąż opuścił osiem lat temu. Założył nową rodzinę, już nawet nie pamiętam, czy miał dzieci, czy nie, ale już ileś tam lat żył z drugą kobietą. W przeddzień rozprawy rozwodowej ona przyszła do mnie się, jak powiedziała, poradzić – a jak potem się okazało, wcale nie radzić, tylko szukać aprobaty dla swojej niezgody na rozwód. Zadała mi pytanie, jak ma się zachować podczas tej rozprawy. Bo wiadomo, że sąd na pewno orzeknie rozwód, zgodnie z prawem dawno nastąpił już tak zwany „trwały rozpad pożycia” – i jeżeli ona będzie się sprzeciwiała, to wszyscy to odczytają jako złośliwość i mściwość. Ludzie osądzą ją jednoznacznie: Dewotka, porzucona, nie pozwala facetowi ułożyć sobie życia. I kiedy tak mi ona przedstawiła całą tę historię, we mnie odezwał się chłopiek-roztropek, który zapomniał, że jest katolickim księdzem. I powiedziałem jej: „No, widzi pani, ponieważ pani wie, że w obliczu Boga on i tak nie przestanie być pani mężem, to żeby oszczędzić sobie tych właśnie przykrości, to niech pani się zgodzi”.

Nie zapomnę tych kwadratowych oczu jakie jej się wtedy zrobiły, że ksiądz takie rzeczy jej mówi! Tak mi odparła: „Proszę księdza, ja wiem, że rozwód będzie orzeczony, ale ja chcę mu zostawić jeszcze ostatnie słowo miłości. Bo jeżeli ja się zgodzę na rozwód, a on jest niewierzący, to będzie tak, jakbym ja mu dała rozgrzeszenie – a to by było rozgrzeszenie nieprawdziwe i ja bym go tym skrzywdziła. Ja chcę mu zostawić jeszcze moje ostatnie przesłanie, że źle zrobił, że skrzywdził swoją żonę i swoje dzieci!”. I tak zrobiła – a ja dostałem pouczenie. Cała ta historia skończyła się zupełnie jak w kiepskiej powieści. Rozwód, oczywiście, został udzielony, ale bardzo szybko ten człowiek zachorował na raka. Wówczas kochanka, jak to bywa, uciekła. I ta biedna, prawowita żona dochowała wierności w ciężkiej pracy doglądania go w chorobie i w umieraniu. Ktoś może powiedzieć: „No, głupia sprawa, do głupich rzeczy ta wiara chrześcijańska namawia”, ale my jesteśmy właśnie tacy głupcy ze względu na Chrystusa. I to jest świadectwo, nawet dla tego męża, który był, wydawało się, kompletnie zamknięty na świadectwo. To jest świadectwo dla dzieci, przekazywany im ogromnie ważny komunikat, że małżeństwo jest święte. Świadectwo takie rzucane w przestrzeń, dla każdego, kogo zechce tym świadectwem ubogacić Bóg.

www.osalij.sychar.org

ISBN 978-83-61860-91-4



9 788361 860914

CENA: 25 ZŁ

WydawnictwoFides.pl



Wspólnota
Trudnych
Małżeństw
Sychar

Wspólnota Trudnych Małżeństw Sychar wspiera sakramentalnych małżonków, których małżeństwa przeżywają kryzys. Opiera się na prawdzie o mocy sakramentu, który jest darem od Boga, a On – Bóg daje siłę na odrodzenie wspólnoty małżeńskiej w każdej sytuacji, nawet, po ludzku patrząc, bez nadziejej.

www.sychar.org